

NR 42
Koleień-czerwiec
2003

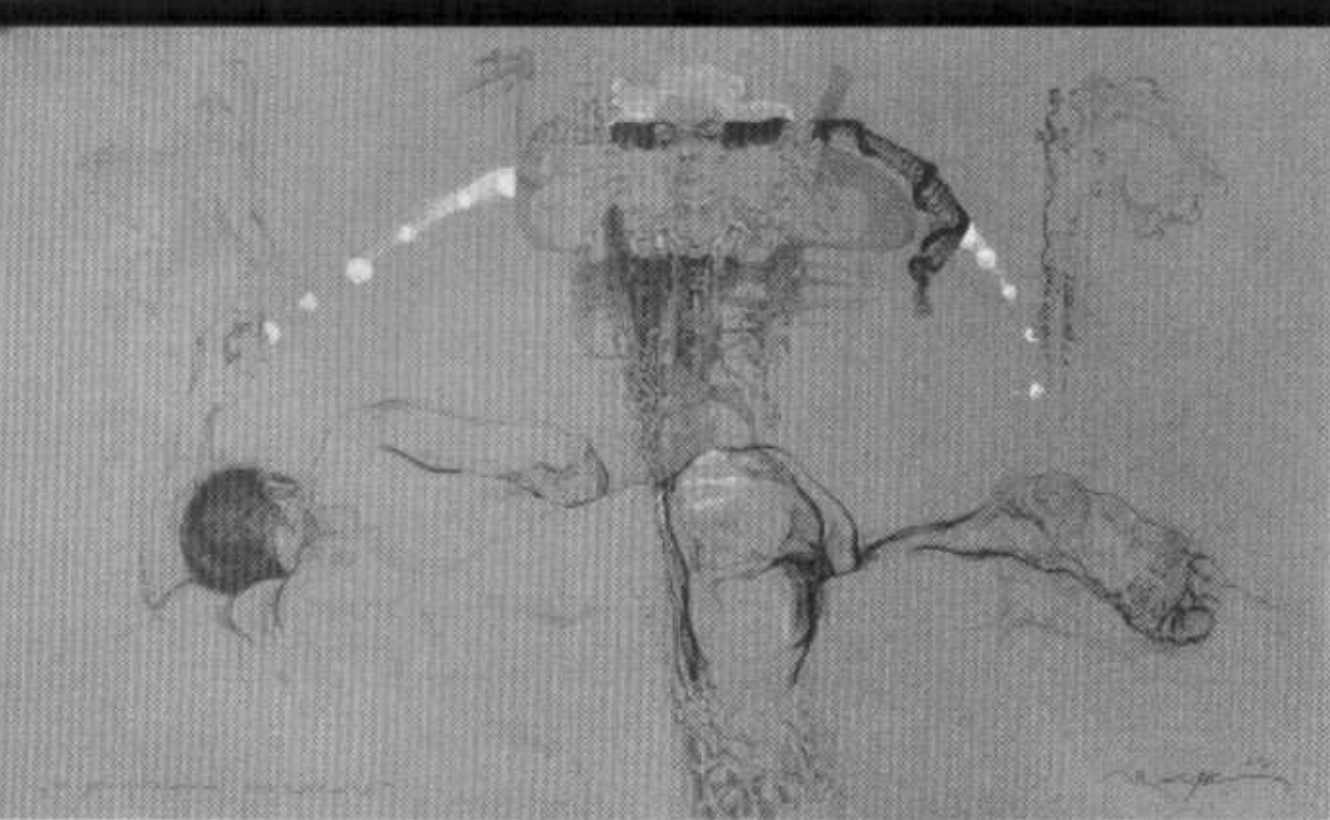
aleje 3

KWARTALNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY
ISSN 1427-8812 cena 2 zł

W NUMERZE:

Burszewski o Amsterdampie • Hurnikowa o Wiedniu • Marjańska o Frankfurcie nad Menem i Nowym Jorku • Marcin Flynt o Częstochowie





rys. Arkadiusz Zajac „W jaskiniowym odurzeniu” 2002, ołówek, akryl
fot. Człegorz Misiak „Joof”, „Nick Cave” (1 str. odd.)



SPIS TREŚCI

z miasta	3
opinie	7
podróże	8
wywiad	16
poezja	20
recenzje	22
proza	26
dekadencja	32
obserwacje	35
zapiski o swiecie	36
wspomnienie	38
teatr	40
ze sztuką na ty	42
film	44
plastyka	45
galeria	49

aleje 3

KWARTALNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY
Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. Najświętszej Maryji Panny 22
42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

Biblioteka Publiczna
al. Najświętszej Maryji Panny 22
42-200 Częstochowa
e-mail: bp-bp@wp.pl bpwb@wp.pl
tel. 360-56-28

Zespół redakcyjny

KRYSTIAN PIWOWARSKI – redaktor naczelny
SŁAWOMIR BURSZEWSKI – literatura, komika,
twórczość młodych
ARKADIUSZ ZAJĄC – szata graficzna, okładka,
plastyka, ilustracje

Redakcja tekstów: ANNA WOLAŃSKA

Redakcja techniczna: skład, lamowanie, korekta, druk
Drukarnia Częstochowska
ZAKŁADY GRAFICZNE SA

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i opublikowania
niektórych materiałów znajdujących do druku.

INFORMATOR

- Wystawa Jacka Malczewskiego – pawilon
Muzeum w Parku Jasnogórskim, od 15.05
- XII Międzynarodowy Festiwal Piosenki
„Majowa Nutka” 21.05 – 23.05
- XVI Planer Miejski – Częstochowa 2003,
czerwiec 2003
- 14–15.06 Częstochowska Dni Książki
– Miejska Galeria Sztuki

NOWE PŁYTY

Na rynku muzycznym ukazały się nowe płyty częstochowskich wykonawców. Pierwsza to „The Searchers for Something” (wyd. „Gowi Records”) Yaniny & KaPeLi. Yanina i jego grupa rozwijają free-jazzową stylistykę z poprzedniej płyty; jest jeszcze więcej improwizacji i solowych popisów instrumentalnych lidera i Łukasza Klucznika.

Habakuk reprezentuje scenę jamajską, choć i on próbuje eksperymentować, wprowadzając nowe brzmienia, mieszając stylistyki, zapraszając do nagrań rozmaitych gości (m.in. Anię Patynek, Tomasa Sancheza, hip-hopowców: DJ Hama, Czubka i Zana). 13 kompozycji utrzymanych jest w typowym dla grupy stylu regge-rockowym, wspartym mocną sekcją dętą (M. Pospieszalski i Ziot Gralak). Trzeci krążek grupy będzie na pewno często grany w częstochowskich klubach. „Muzyka Słowo Liczba Kolor” (wyd. „Gigant Records”).

Nową płytą może się pochwalić także Ziot Gralak. Po czterech latach leżenia na półce światło dzienne ujrzał projekt „Ye She”, w którym wzięli udział m.in. Justyna Steczkowska, Staszek Sojka, Wojciech Waglewski. Płyta dosyć trudna, pełna eksperymentów elektronicznych i brzmień orientalnych, do przesłuchania co najmniej kilkanaście razy. Chociaż dwie piosenki to potencjalne przeboje, ale raczej nie usłyszymy ich w radio i TV. Muzyka bardzo, bardzo niezależna i odbiegająca od polskiej przeciętnej muzycznej. Produkcja – „Offmusic”.

Formacja Nieżywych Shabuff wypuściła kolejną już, wiosenną wiązkę przebojów, nie odbiegającą za bardzo od tego, co grupa robiła do tej pory. „Supermarketu” da się słuchać, piosenki wpadają w ucho, drażnią jedynie infantylne teksty. Może czas zatrudnić profesjonalnego tekściarza?

Swoją karierę rozpoczęła także młoda punk-rockowa grupa „Raże-





ni Piorunem", nagrywając debiutancką płytę „zakazane piosenki”. Promocję można było oglądać na MTV Classic w programie „Holdys Guru Limited”, gdzie Wojciech Król opowiadał o swoim zespole.

Wysypu częstochowskich płyt to jeszcze nie koniec. (sb)

BULION

W styczniu zadebiutował Magazyn Literacki „Bulion” (nie mylić z krakowskim „Brulionem”), redagowany i wydawany przez małżeństwo poetów – Szymona i Wioletę Grzegorzewskich, którzy zebrali teksty swoich przyjaciół z miasta i z kraju. Piszą tam m.in. J. Podsiadło, A. Sosnowski, M. Melecki. Teksty ciekawe, cieszy debiut M. Rumińskiego jako dramaturga, reportaż z poetyckiego Londynu M. Szkopa, opowiadanie obiecującego prozaika M. Tarkowskiego. Niedopracowana jest natomiast strona edytorska pisma, pomimo ładnej okładki. Nad tym można jeszcze

popracować. „Bulion” wypełnia pewną lukę na częstochowskim rynku, ściągając do siebie młode środowisko, głównie literackie. W dwumiesięczniku znajduje się też sporo informacji o konkursach literackich w kraju. Do nabycia w „Taniej Książce” przy ul. Focha. Szymon Grzegorzewski nie wyklucza wejścia sponsora strategicznego – firmy „Winiary”. Jeżeli umowa dojdzie do skutku, do następnych numerów będą dokładane kaloryczne kostki rosółowe. (sb)

KINO STUDYJNE

W OKF na początku roku rozstrzygnięto konkurs na najlepszy film AD 2002. W złotej piątce znalazły się aż trzy filmy polskie. Czyżbyśmy przeżywali ożywienie krajowej kinematografii?

1. „Amelia”
2. „Edi”
3. „Pianista”
4. „Władca Pierścieni”
5. „Mulholland drive” i „Dzień świra”

W lutym można też było obejrzeć film Pawła Popko „Gruby w Londynie”. Popko – laureat ostatniego konkursu na film krótkometrażowy „Częstochowa w kadrze”



(„42-200”) kręci także teledyski dla „Habakuka”, „Negatywu” i „Pogodno” emitowane na kanale Viva.

Aktor „Teatru z Polski”, Wojciech Kowalski, zagrał jedną z głównych ról w filmie „Baśń o ludziach stamtąd” Władysława Sikory (kabaret „Potem”) obok Stanisława Tyma i Macieja Stuhra. Adam Hutyra i Arkadiusz Głogowski (teatr im. A. Mickiewicza) pokazali się w głośnym filmie Macieja Ślesickiego „Show”. (sb)

GALERIE

Największym wydarzeniem malarskim sezonu zimowo-wiosennego była wystawa pięćdziesięciu prac Zdzisława Beksińskiego (w ciągu 10 dni obejrzało ją 2500 osób), wypożyczonych z Muzeum w Sanoku, której część ma szansę na stałą ekspozycję na okres dwóch lat. Taką propozycję złożył częstochowskiemu BWA paryski kolekcjoner Piotr Dmochowski. Być może będzie to także wydarzenie tego roku. W ubiegłym, według plebiscytu Gazety Wyborczej, wydarzeniem było II Międzynarodowe Biennale Miniatury w OPK Gaude Mater, a twórcą roku został Jerzy Kędziara.

Inni częstochowscy plastycy – Tadeusz Kweclich, Adam Patrzyk (prezentowany szerzej w poprzednim numerze „Alej 3”) i Jacek Łydzba znaleźli się w pierwszej setce internetowego Konkursu na Obraz Roku organizowanego przez prestiżowy magazyn „Art. Business”. Sam Kweclich otrzymał nagrodę główną (podzieloną między czterech artystów) za obraz „Autoportret” (sb)

PISMO – EFEMERYDA

Niedawno na częstochowskim rynku wydawniczym pokazał się 3 numer „Galerii”, jak feniks z popiołów. Używam tego porównania nie bez powodu. Mitologiczny ptak miał się odradzać w starożytnym Egipcie co 500 lat. Poprzedni numer „Galerii” widzieliśmy i czytaliśmy tylko 10 lat temu. Być może iż

teraz pismo (kwartalnik? rocznik?) będzie się ukazywać periodycznie, tym bardziej, że zespół redakcyjny składa się z czterech osób, z Władysławem Piekarskim i Andrzejem Kalininem na czele.

Formalnie zmienił się profil czasopisma. O ile dawne dwa numery miały charakter przede wszystkim literacki, to obecnie podtytuł „Galerii” brzmi: „regionalny informator społeczno-kulturalny”.

Pod względem materialnym i graficznym ponad stustronicowy egzemplarz wygląda bardzo porządnie. Elegancji dodają kolorowe fotografie, ryciny, okładki krótko recenzowanych książek. Treściowo przeważa nadal problematyka literacka: poezja, proza, krytyka, informatorium o nowościach edytorskich, sylwetki autorów, notki itp. Twórcy pochodzą nie tylko z Częstochowy i regionu. W „Galerii” znajdziemy pisarzy o ustalonej już sławie. I tak Julian Kawalec przedstawia kilka krótkich opowiadań, podobnie jak Kalinin. O autorze „Tańczącego jastrzębia” wypowiadają się krytycy z Węgier, Słowacji, Litwy, Niemiec, nawet Finlandii i Rumunii. Andrzej Kalinin zamieszcza rozprawkę o „Grypsonierze” więziennej oraz opowiadanie pt. „Artysta z sercem do sztuki”. Autor młodszego pokolenia, Marcin Paruzel (sekretarz redakcji) wystartował w odrodzonej „Galerii” z garścią publicystyki oraz ciekawym choć kontrowersyjnym opowiadaniem „Wstyd”. Poezji niewiele (i dobrze), reprezentuje ją wyłącznie Teresa Czekaj, pochodząca z Częstochowy, lecz zamieszkałą na stałe w Paryżu. Jej matka, Barbara Kubicka-Czekaj zajęła się Norwidem. Oczywiście jej szkic ma charakter przyczynkowy, traktuje o jednej idei Norwida zawartej w jego „białych” dramatach, poezji i listach. Naturalnie wspominałem o najważniejszych tekstach. Przyszłość pokaże, czy ten obiecujący – już trzykrotny zaczął redakcyjny – nabierze pewności siebie, konsekwencji, stałości.

„Galeria” w żadnym razie nie może się stać konkurencją dla „Alei 3”. To są dwa różne światy. Mimo to w tym wskrzeszonym periodyku znaleźliśmy też zaczepki pod adresem naszego dwumiesięcznika. Ale owe aluzyjne przytyki (w Przedmowie) są raczej śmieszne niż zasadne. (tg)

FOTOGRAFIA

W II Jurajskim Salonie Fotografii, organizowanym przez ROK w Częstochowie zwyciężyli:

w kategorii „Ludzie” – Adam Sowa z Katowic za pracę „Kamienne Podwórka”

w kategorii „Otoczenie” – Krzysztof Kamiński pracami „Wieżowce” i „Zatroskanie”

w kategorii „Eksperymenty” – Adam Palenta ze Świętochłowic pracą „Dinozaury”

Częstochowianie zajęli dalsze miejsca.

SZCZYT POETÓW

26 edycję Ogólnopolskiego Konkursu poetyckiego im. H. Poświatowskiej mamy już za sobą. Tym razem był on pomysły dla częstochowian. Po dwóch dniach (23-24.XI) spotkań, dyskusji, turniejów, jury orzekło: w kategorii debiutów I miejsce ex aequo zdobyli Tomasz Jamroziński i Marcin Janocha (tak naprawdę działający w Częstochowie myszkowianin). Jedno z wyróżnień (obok Stanisława Mleko i Małgorzaty Stachowiak) przypadło omawianej w tym numerze Justynie Kowalik. Po latach posuchy coś w naszym światku poetyckim drgnęło. W kategorii „po debiucie” pule nagród zgarnęli: Łukasz Bagiński z Kluczborka (I miej-



Redakcja „Alei 3” podczas promocji książki Krystiana Piwowarskiego „Homo Polonicus” oraz prac Arkadiusza Zajęca zorganizowanej przez częstochowski EMPIK

Z MIASTA

sce), Jacek Karolak z Warszawy (II miejsce), Paweł Lekszycki z Knurowa (III miejsce), Robert C. Grala z Płocka i Bartosz Konstrat z Wólki Bieleckiej (wyróżnienia). Tegoroczna impreza cieszyła się dużym zainteresowaniem – nadesłano aż 527 zestawów wierszy, których poziom niestety nie zawsze był wysoki. Turniej Jednego Wiersza wygrała Małgorzata Stachowiak z Sulechowa, a w „Prezentacjach recytatorskich poezji lirycznej”, w których wystartowały 104 osoby, trzy równorzędne nagrody trafiły do rąk częstochowskich licealistów: Anny Bokoty, Karoliny Siudei i Piotra Ciury. Ozdobą Sergiej Zawiałow. (sb)



Cykl wystaw w Galerii „w oknie” (EMPIK) rozpoczął pokaz rysunków Arkadiusza Zająca

rys. A. Zając „Złączenie” 2003, tech. mieszana





PYTANIE O UNIĘ

Tej wiosny tematem numer 1 dla Polaków jest referendum w sprawie naszego wstąpienia do Unii Europejskiej. Problem zajmuje od dłuższego czasu głowy ekonomistów, polityków, socjologów, kleru, tylko jakoś mało się mówi o wpływie tego aktu na kulturę. Może dlatego, że świat kultury w Polsce jest kosmopolityczny i już dawno skruszył dawne mury. Polska kulturalnie wstąpiła do Europy 1000 lat temu, zawsze w niej byliśmy, przejmując jej wzory i modele, czasem trochę ślepo, „na papugę”. Artyści to ludek ruchliwy i obrotny, lubiący się kręcić po szerokim świecie, także za oceanem. Kultura jest naszą wizytówką (nie mówię o obyczajach), bo czym innym możemy się poszczycić? Techniki i przemysłu u nas jak na lekarstwo, nauka w powijakach, gospodarka fatalna, ruina socjalna, w sporcie zdarzają się geniusze. W biografii każdego niemal malarza znajduje się kilka wystaw zagranicznych, orkiestry, chóry, zespoły taneczne podróżują po świecie, polscy filmowcy brylują w czołówkach hollywoodzkich produkcji, wybitni pisarze przekładani są na różne języki, jazzmani grają na zagranicznych scenach. Ktoś powie, że to zasługa Polonii, emigrantów i wymiany kulturalnej. Ale jeśli te działania są aktywne i przynoszą efekty, nie sposób ich nie zauważać. Ktoś powie, że słabe czytelnictwo, analfabetyzm na podwórku, ale to raczej rozleniwiający wpływ telewizji i skutek zaniedbania rodziców (zjawisko powszechne na całym świecie).

Wystarczy spojrzeć na plakat z festiwalu muzyki sakralnej „Gaude Mater” – z ilu krajów przyjeżdżają do nas goście. Podejrzewam, że integracja z Unią tylko ułatwi kontakty ze światem zachodnim, zniesie pewne formalne bariery. Artystów nie powinno więc męczyć widmo UE, które to niby dąży do zniszczenia ducha polskości. Polacy zbyt mocno zaznaczają swoją odrębność kulturową, by rozpuścić się w masie euroobywateli. To nam nie grozi. Co więcej, odzywają się głosy o nawracaniu hedonistów z zachodu na drogę wiary. Mamy więc zapędy ekspansywne, za które z pewnością

nie jesteśmy i nie będziemy lubiani. Czego więc się obawiać?

Braku pieniędzy. Jesteśmy dużo biedniejsi od przeciętnych krajów UE i już na starcie stajemy w roli ubogiego krewnego, żeby nie powiedzieć żebraka. Jesteśmy źle zarządzani, brak nam systemów kontroli publicznej. I tu patrzę z nadzieją na UE, że ta wymusi na nas sprawniejsze gospodarowanie krajem i ukróci prywatę, trochę nas zmobilizuje. Żeby tak jeszcze wymieniła polityków...Listę życzeń można rozwijać, aczkolwiek należy się zastanowić, czy przeciętnemu Kowalskiemu (dzisiejszym jego odpowiednikiem jest „Kiepski”) pasuje rola „Europejczyka”, wszak widzi swój poziom życia i swoje zarobki. Nie wiem czy stać nas na Unię i czy ta nie będzie tylko dla elit. Nie chcę też, żeby za mnie decydowali frustraci i nieudacznicy. Z drugiej strony duma narodowa mówi mi, że wcale nie jestem gorszy od Hiszpana czy Belga, że nie każdy Polak to Lepper. Być może przyzwyczajenie do swojskiego bałaganu będzie mocniejsze od chęci zmiany na inną, niekoniecznie lepszą rzeczywistość (prawdopodobnie trochę jeszcze zbiedniejemy). Być może lepiej prac brudy narodowe w swoim grajdole, niż w świetle reflektorów.

Na pewno w roku 2004 nie będziemy mówić po angielsku i chodzić jak roboty, myśleć jak komputery, czym nas straszą różni szarlatani i wizjonerzy. Może nie zmienić się nic. Ostatnio zapytałem trzyletniego chłopczyka: „Kim ty jesteś?” – „Europejczykiem” odparł. „W jakim kraju mieszkasz?” – „W Unii Europejskiej” – dokończył bez namysłu. Najmłodsze pokolenie podchodzi do referendum znacznie prościej. (sb)



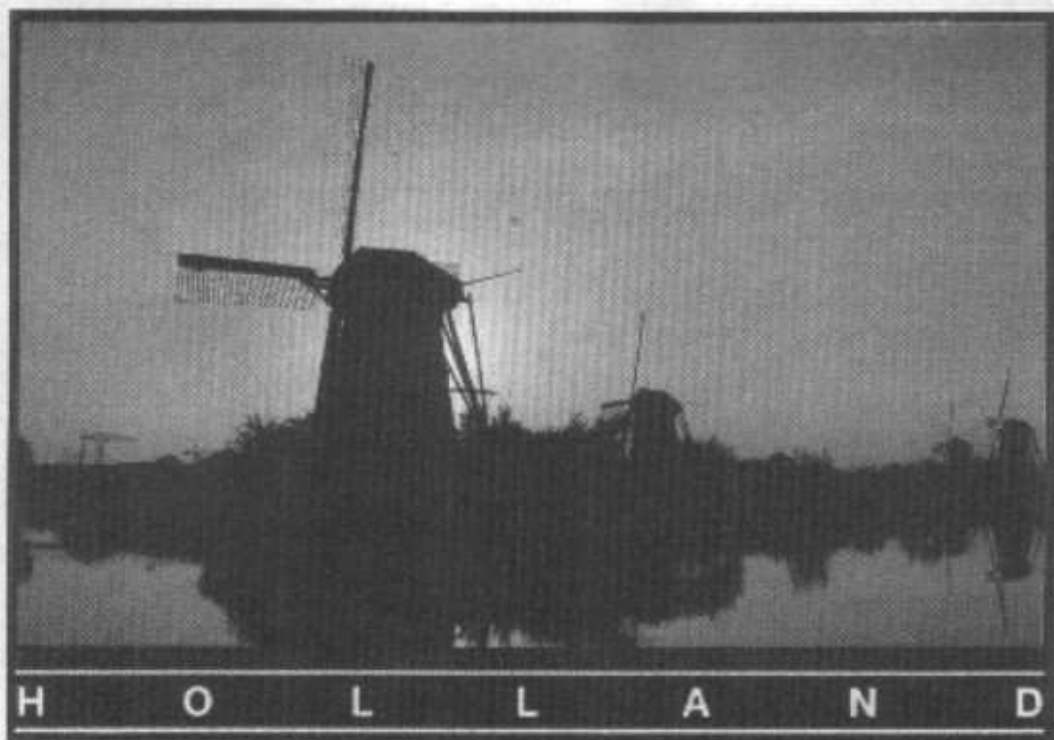
AMSTERDAM

O różnych miastach świata krążą legendy i mity. O Amsterdamie słyszałem: „Wenecja Północy”, miasto pacyfistów i wspaniałej atmosfery, luzu, tolerancji dla wszelkich odmieńców itp. Postanowiłem pojechać i sprawdzić, jak to jest naprawdę. Trochę się rozczarowałem. Wcale nie wygląda tak wspaniale, jak mi opowiadano. Zobaczyłem miasto chaosu, używek, działające na zasadzie „wpadaj i spadaj”.

Pierwsza rzecz, która mnie zdenerwowała to rowery. Są ich tysiące, ale w bardzo kiepskim stanie. Holendrzy nie kupują ich, lecz wypożyczają. Jeżdżą na nich wszędzie i zawsze. Mają pierwszeństwo na drogach, co prowadzi do absurdałnych sytuacji, kiedy złośliwy rowerzysta tarasuje drogę kilku autokarom, bo ma ochotę pojechać „bez trzymanki”. Trzeba bardzo uważać, żeby nie zostać stratowanym przez pędzące dwukołowe wycieczki (nie mają zwyczaju hamować). Na rowerze jeździ pani w stroju wieczorowym, urzędnik z biura, pracownik portu i kawiarenki. Śmiesznie to wygląda, ale mnie akurat podoba się, bo jest demokratyczne i zdrowe. Amsterdam jest za ciasny, żeby jeździć po nim samochodem. Jednak, kiedy z bliska się przyjrzałem pojazdom, zobaczyłem zardzewiałe łańcuchy i zębatki, pourywane światła, klekoczące błotniki. Modele przy-

pominają radzieckie welocypedy z lat 50., na próżno tu szukać sportowego „górala” i rowerów z przerzutkami. Żadnych udoskonaleń. Na pewno lekko się na takim rowerze nie jedzie, ale za to nikt go nie ukradnie. Takiego gigantycznego złomowiska poruszającego się po ulicach jeszcze nie widziałem i dziwię się, że policja dopuszcza je do ruchu. Policjantów także nie spotkałem – być może jest tu zbyt mała przestępczość. Nikt nie zwraca uwagi na sygnalizację świetlną, tramwaje wyjeżdżają nagle, jakby spod ziemi, prosto na przechodniów. Ulicami trzeba się przepychać. Miła atmosfera?

Druga sprawa to narkotyki. Sklepy z nimi stoją co krok, prawie jeden na drugim. Nie trzeba wcale zapalać skręta, żeby się zaciągnąć – opary trawki unoszą się w powietrzu. Dużo młodzieży przyjeżdża tylko po ten towar i później można spotkać błakających się Anglików, mylących dworzec kolejowy z portem lotniczym. Wielu z nich nie jest w stanie wrócić ze swojej wycieczki do kraju i zostają. Centrum przypomina wielką dilernię, z której – podejrzewam – Holendrzy ciągną duże zyski. Niderlandy to jedyny kraj, gdzie zalegalizowano miękkie narkotyki, niekoniecznie z powodu tolerancji, którą się szczycą, ale z powodów ekonomicznych. Jeżeli jest to jedyne miejsce, gdzie można legalnie kupić i zapalić jointa, to wszyscy będą do niego ciągnąć. Będzie to główna atrakcja turystyczna, cel wielu wypraw. Mądry Holender po prostu przeliczył i otwo-





rzył coffe-shopy, bo muzea, których jest tu wiele (Rijksmuseum, muzeum Van Gogha, Kotów, Kawy i Herbaty, Piwa, Haszyszu, Biblii, Teatru) nie wszystkich interesują. Marihuana jest tu towarem najbardziej dostępnym, natomiast trudniej dobrze zjeść i wypić. W gęstwinie McDonaldów na próżno szukałem ostawionych holenderskich serów. W ojczyźnie Grolscha i Heinekena trudno dostać piwo w rozsądnej cenie.

Trzecia kwestia to brak w mieście fawek, na których można by usiąść. Mam wrażenie, że nie ustawiono ich w obawie, by turyści po degustacji trawki nie leżeli na nich pokotem. Byłby to nieestetyczny widok. Nie ma ich nigdzie, więc w Amsterdamie obowiązuje pozycja stojąca. Owszem, są kawiarenki z ogródkami, ale żeby usiąść i chwilę odpocząć nie muszą od razu wydawać kilkunastu euro. Wielu się zachwyca, że seks jest tu towarem łatwo dostępnym, że sprzedaje się go jak ciepłe bułeczki. To typowe dla miast portowych (patrz Hamburg i Rotterdam), gdzie również są dzielnice domów publicznych. Denerwujące są sex-shopy, których również jest zbyt wiele, aż do obrzydzenia.

Pisałem o sprawach, które mi się nie podobały, teraz kilka słów o tym, co sympatyczne. Na pewno wspaniała architektura z wysokimi, wąskimi kamieniczkami, czasami przekrzywionymi w różne strony (niektóre wywołują takie złudzenie optyczne). Stare miasto wygląda bajkowo. Uzupełnieniem kamienic są barki mieszkalne na wodzie – na niektórych zbudowano

szklarnie. Pośród ponad tysiąca mostów i sieci kanałów bez mapy można się zagubić, tym bardziej, że nazwy „grachtów” brzmią dla obcokrajowca podobnie i są trudne do odczytania. Starą, kupiecką tradycję miasta można odnaleźć w sklepach z antykami, domach aukcyjnych i szlifierniach diamentów (Japończycy wywożą je pełnymi torbami), kopiach XVIII-wiecznych galeonów w porcie.

Holendrzy budzą mój podziw, bo to naród mały, ale energiczny i zorganizowany. Potrafią na małym skrawku ziemi (w części wydartej morzu) zbudować świetnie prosperujące miniaturowe królestwo, a niegdyś nawet imperium kolonialne. Niderlandy, podobnie jak kiedyś Rzeczpospolita, były republiką, ale zdecydowanie lepiej ten ustrój wykorzystały, dzięki temu, że nie było u nich tak mocnej szlachty. Uważam, że są brzydki i wstrętnie się ubierają, ale to do nich przyjeżdżają turyści z całego świata, tworząc na wąskich uliczkach kosmopolityczny tłum. Potrafią być postępowi – wszelkie nowinki prawne wychodzą właśnie stąd (legalizacja gejowskich ślubów, eutanazji, aborcji) – i ekologiczni. Podczas, gdy gdzie indziej istnieje system zakazów i nakazów, Holendrzy po prostu pozwalają i mają spokój. Widać to można i tak. Żałuję tylko, że byłem tu jesienią, a więc na ulicach nie było tulipanów.

*Z kraju wiatraków pisał specjalnie dla „Alej 3”
S. Burszewski*

WIEDEŃ

– metropolia przyjemności i miasto cmentarzy

W kulturze austriackiej istotną rolę odgrywa ten kierunek refleksji, który myśli o śmierci i jej pojęciu zespala i przeplata z radością życia. Ta wzajemna współzależność postaw, wydawałoby się, przeciwnych, określa szeroki horyzont ludzkich doświadczeń i współtworzy pełnię doznań. Przekładają się one na znaki kultury ma-

terialnej i duchowej, na obyczaje i nawyki kulturowe.

Postępuję się przykładem Wiednia, miasta które przez włoskiego germanistę z Triestu, Claudio Magrisa (autora słynnej książki o micie habsburskim w literaturze austriackiej), nazwane zostało „metropolią przyjemności”, a każdy, kto choć raz był w „cesarskiej stolicy” wie, jak bardzo to określenie jest uzasadnione. Jednocześnie jednak Wiedeń to miasto, które stworzyło bogatą kulturę śmierci. Osiągnęła ona swój szczyt w okresie baroku, kiedy wydarzenia wojny trzydziestoletniej oraz dziesiątkująca ówczesną ludność epidemia dżumy dowiodły, że śmierć może uderzyć niespodziewanie i przerwać życie w pełni rozkwitu, że może objawić się w wielu postaciach. To w Wiedniu znajduje się Muzeum Pochówku, w którym prezentowane są akcesoria związane ze śmiercią i pogrzebami (np. używane ongiś karawany do przewożenia zwłok i narzuty na trumny przeznaczone dla różnych warstw społecznych, nóż do przebijania nieboszczykowi serca, by zapobiec śmierci rzekomej, trumna z otwieranym dnem stosowana za czasów Józefa II do przewożenia na cmentarz zwłok biedaków i in.). Wiedeńska kultura (choć można zapewne wskazać i inne przykłady) godzi i równouprawnia dwa skrzydła ludzkiej egzystencji – radość życia i świadomość jego kresu.

Przywołany wyżej Claudio Magris w innej książce – „Dunaj” (przełożonej przed kilku laty na język polski) – będącej „biografią pewnej rzeki”, literacką wędrówką wzdłuż Dunaju, przedstawiając fragmentarycznie różne miejsca, szkicując sylwetki związanych z nimi znanych i nieznanymi postaciami, snuje m.in. refleksje na temat sensu życia i śmierci. Wspiera się w swoich rozważaniach przykładem starego wiedeńskiego cmentarza w stylu biedermeier – Sankt Marx-Friedhof, który od roku 1874 jest zamknięty i służy tylko jako miejsce zwiedzania. Właśnie na tym cmentarzu znajduje się grób, w którym prawdopodobnie pochowany został Wolfgang Amadeusz Mozart. Grób jest starannie pielęgnowany, leżą na nim wiązanki



Grób L. van Beethovena – Zentral Friedhof

for. autorka

kwiatów, ale większość mogił sprawia wrażenie opuszczenia. Spacer wśród zniszczonych przez czas nagrobków, zardzewiałych ogrodzeń, beznosych lub pozbawionych rąk aniołów powoduje, że od rozmyślań o śmierci chętnie przechodzi się do myśli o przyjemnościach, jakie czekają za bramą cmentarza. Drugi z przywołanych przez autora cmentarzy to Friedhof der Namenlosen – Cmentarz Bezimiennych, na którym grzebie się zwłoki ludzi wyłowionych z Dunaju. Obok miejsca wiecznego spoczynku bezimiennych znajduje się gospoda, gdzie w milej i przytulnej atmosferze można przyjemnie spędzić czas po opuszczeniu cmentarza.

Zarówno Magris jak i inni pisarze, którym kultura austriacka jest szczególnie bliska i dobrze znana, poświadczają, jak mocno przenikają się w niej kultura życia i kultura – jeśli tak można powiedzieć – śmierci. „Leben und leben lassen” – ta słynna wiedeńska dewiza, która dziś jeszcze wydaje mi się bardziej ludzka niż wszelkie kategoryczne imperatywy – pisze w swoich wspomnieniach „Świat wczorajszy” Stefan Zweig – przyjęła się we wszystkich warstwach społeczeństwa”. „Życ i dać żyć innym” – to słowa określające jedną stronę wiedeńskiego stylu życia, związaną z umiejętnym korzystaniem z jego uroków. Claudio Magris jednak przypomina (za Polgarem), że postawa określona powyższą dewizą bliska jest cynicznej – jak się mogłoby wydawać – obojętnej: „Sterben und sterben lassen”. „Umrzeć i dać umrzeć innym” to słowa ujmujące stosunek wobec śmierci, która jest i tak nieunikniona.

Pojawia się tu i inny jeszcze trop refleksji. To na Cmentarzu Bezimiennych – jak pisze autor „Dunaju” – śmierć jest czymś prawdziwie elementarnym. Pełna anonimowość ludzi tam pogrzebanych objawia zrównanie nas wobec jej majestatu. Wszystko, co posiadaliśmy na ziemi, także nasza tożsamość, okazuje się niczym. Równość wszystkich wobec śmierci – bez względu na stan, status społeczny, wiek – to motyw, który od wieków przewijał się w europejskiej literaturze i ikonografii; znalazł swoje miejsce i w kulturze wiedeńskiej. W postaci szczególnie wyrazistej zrównanie w obliczu śmierci ujawniło się w obrządku pogrzebowym – w pochówku cesarzy austriackich. Opis takiej ceremonii znaleźć można w monografii „Franciszek Józef I” pióra Stanisława Grodzkiego. Cesarz miał być pochowany, według zwyczaju, w krypcie klasztoru Kapucynów, gdzie od początku XVII wieku składano trumny z prochami

Habsburgów. Po nabożeństwie żałobnym w katedrze św. Stefana kondukt pogrzebowy, na którego czele szedł następca tronu, Karol I, udał się do klasztoru. Nowy cesarz trzykrotnie zakofał w zamkniętą bramę krypty:

„W niewielkim, zakratowanym okienku na prawo od bramy pojawiła się siwa głowa gwardiana klasztoru, który zapytał:

– Kto domaga się wejścia?

– Jego Cesarska i Królewska Wysokość Franciszek Józef Pierwszy, król apostolski Jerozolimy, cesarz Austrii, król Węgier, Czech i Moraw, Dalmacji, Chorwacji, Sławonii, Galicji, Lodomerii, Ilirii, arcyksiążę austriacki, wielki książę Siedmiogrodu, Toskany i Krakowa, książę Lotaryngii, Salzburga, Styrii, Karyntii, Krainy, hrabia Tyrolu...



Grób E. Schuberta – Zentral Friedhof

fol. autorka



Grób W.A. Mozarta – Sankt Marx – Friedhof

fol. autorka

– Nie znam takiego – odparł przeor i zamknął okienko.

Cesarz Karol odczekał chwilę, po czym zastukał po raz drugi.

Okienko otwarło się.

– Kto domaga się wejścia?

– Franciszek Józef Habsburg, człowiek, który prosi o łaskę.

– Niech wejdzie!

I wówczas dopiero otworzyła się brama klasztoru".

Nie tylko monarchom dany był przywilej wspaniałego pogrzebu. Każdy wiedeńczyk marzył o tym, by po godziwym i pełnym przyjemności ziemskim bytowaniu mieć odpowiedni pochówek. „Schöne Leiche” – piękny pogrzeb – to określenie, które w takim samym stopniu etykietuje postawę wiedeńczyków, jak przywołane wyżej dewizy. Mieszkańcy naddunajskiej stolicy żywili wielkie upodobanie do wszelkiego rodzaju publicznych spektakli – teatralnych,

operowych, dworskich; równie chętnie przyglądali się konduktom pogrzebowym. U Zweiga czytamy: „Procesje w dniu Bożego Ciała, rewie wojskowe, występy orkiestry dworskiej – wszystko, co było kolorowe i łączyło się z muzyką, stanowiło świetny pretekst do urządzania uroczystości. Nawet pogrzeby miały swoich entuzjastów. Prawdziwy wiedeńczyk żywił ambicję, żeby mieć „ładny pogrzeb”, z wielką pompą i z licznym orszakiem. Nawet własną śmierć pragnął obrócić w widowisko dla żywych”.

Wiedeń – powiada Magris – jest „miastem cmentarzy”, czcigodnych i majestatycznych niczym portrety cesarza Franciszka Józefa. Miasto krypt i trumien, mieszkań, w których zmarła jakaś słynna postać – jest tu dom śmierci Beethovena, Schuberta, Weiningera i innych – musiało stworzyć odpowiedni klimat ku temu, by rozwinęła się w nim kultura śmierci. Ale jest ona nierozłącznie związana z kultem życia. Wyrażał się on tutaj od wieków w miłości do sztuki muzycznej i teatralnej, w pielęgnowaniu więzów towarzyskich i przyjacielskich – które bodaj najpełniejszy wyraz znalazło w kulturze biedermeieru (słynne spotkania zwane „schubertiadami”), wreszcie w upodobaniu do przytulnych lokali, takich jak gospody, w których serwowano pieczone kurczaki (gebratene Hendl), „Heurigen”, gdzie można smakować młode, cierpkie wino, kawiarnie, oferujące aromatyczną kawę i Apfelstrudel. Wiedeń to miasto, gdzie urządza się słynne karnawałowe bale, ściągające gości z wielu krajów.

Otto Friedlaender, niezrównany kronikarz wiedeńskiego życia na przełomie XIX i XX wieku, z nostalgią odtwarzał w swojej książce miniony świat. Opisał życie codzienne, towarzyskie, rodzinne wiedeńczyków, zwykłe zajęcia, podróże, bale, miłość, język potoczny, kawiarnie. Kończy swoją książkę opisaniem rozbudowanych do najdrobniejszych szczegółów zwyczajów związanych z umieraniem (chorobą, śmiercią, pochówkiem) – zarówno biednych jak i bogatych. Ostatni rozdział („Der Tod” – „Śmierć”) zamknął refleksją, iż wiedeńczycy w pełni doceniają przyjemności życia i dlatego każdy z nich pragnie zakończyć je „wielkim świętem”. **Zamykające wspomnienia Friedlaendera słowa brzmią niemal jak przesłanie: „...kto nie kocha życia, nie żywi także czci dla śmierci”.**

Elżbieta Hurnikowa

Dwa wieczory

Ludmiła Marjańska

Pani Ludmiła była łaskawa przysłać mi z Krecy (przypomnienie z mitologii: Minos i jego Labirynt, „rokokowa” kultura minojska) dwa wiersze. Piękne w swojej prostocie, mądre w jasnym postawieniu retorycznego pytania, tragiczne w opisie pewnego etapu ludzkiej egzystencji. Poetka nie opisuje zabytków (właściwie ich resztek). Nie mówi nic o sławnych freskach i utłakach malowideł w Herkulanum, będących turystyczną atrakcją. Nic o Damie Paryskiej, Pijącym Ptaku, Rozszalałym Byku z krwawiącymi oczami. Poczucie samotności to dominanta stanu psychicznego autorki. Ale jakiej? To nie próżnia lub czarna dziura. Nie da się uciec od siebie nawet na Ultima Thule. Jej samotność jest gęsta, ruchliwa. Wypełniają ją wspomnienia, cienie zmarłych. Dlatego najchętniej siedzi nad szafirowym morzem wspierając głowę na rękach. To jedno. Drugie zaś – nurtujące poetkę pragnienie, żeby jeszcze mogła sycić oczy światem, jego pięknnością, każdym dniem, każdą barwą czynności, jakie wykonuje. Ów zachwyt istnieniem, jego urodą, stanowi drugi człon dualizmu w ostatnich wierszach i tomikach autorki „Córki bednarza”. Metafizyka czai się gdzieś na horyzoncie, gdyż dla każdej rozumnej istoty ludzkiej bywa tajemnicza, ezoteryczna, niepewna.

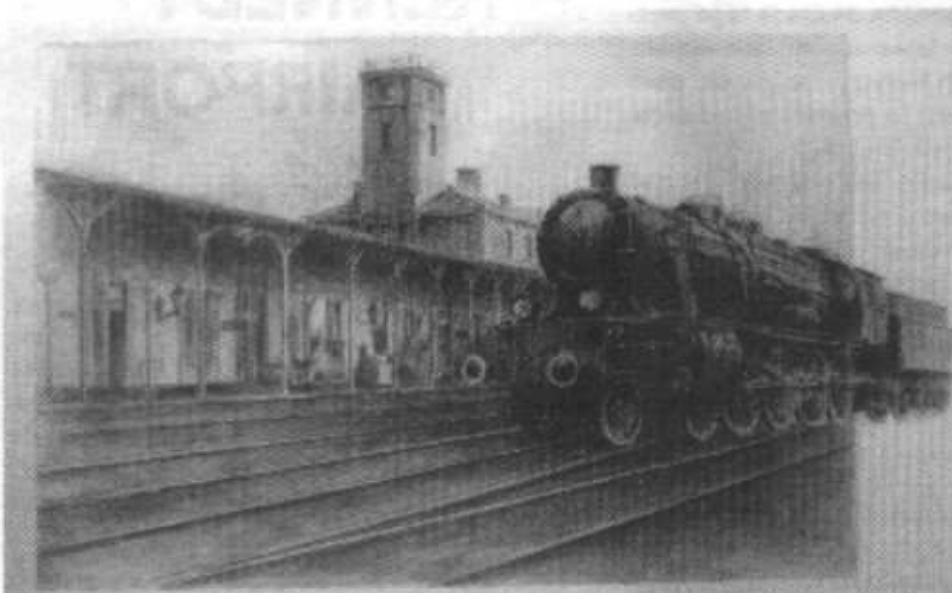
Pod względem „filozofii” poezji – Pani Ludmiła zdaje się coraz bardziej wyznawać tezę, że w poezji najważniejszy jest ładunek myślowy, emocjonalny. Forma zaś musi być prawie niewidoczna, przejrzysta. Dobry wiersz to nie choinka bożonarodzeniowa przybrana świecidełkami. Idzie bowiem o prawdę, a nie o ślicznotki lub makijaż.

Tadeusz Głerymski

Jaka wspaniała samotność –
gdyby nie ci umarli
którzy nie przestają się o mnie troszczyć
no i kilkoro żyjących
o których ja się troszczę
Pojawiają się na przemian
zakłócają spokój samotności
Nieoczekiwanie i niewidocznie
wspinają się na nadbrzeżne skały
wszędobylscy i wszechobecni
Czasem udaje się od nich uciec
w chłodną głębię krecyńskiego morza
ale czekają na brzegu
gdy tylko zasłonę oczy
przed ostrym słońcem.

Jeszcze widzę
A jeżeli świat
zamknie przede mną
swoje kolory
kształty
kontury?
Zanurzona w ciemność
skazana by po omacku
błądzić we własnym wnętrzu
czy odnajdę w nim
choć odrobinę blasku
kroplę zachwytu
kamyk pokory.

Pisane na Krecie w październiku 2002



Barbara Szyć
„Podróż sentymentalna czyli
dawny dworzec kolei
Warszawsko-Wiedeńskiej”
gwasz, kredka, 2002

ŚWIAT W PIGUŁCE

– LOTNISKO WE FRANKFURCIE NAD MENEM

Ludmiła Marjańska

Lot z Warszawy do Frankfurtu. Po egzaminach, poleceniach, pożegnaniach i emocjach przedwyjazdowych, to chwila odpoczynku. Jeszcze na moment przed odlotem w odruchu przerażenia chcę wybiec z samolotu, zbiec po schodkach, zostać, nie opuszczać dobrze znanego świata. Ale schodki już odsunięto, wracam na miejsce, „proszę zapiąć pasy”, klamka zapadła. Ścisnięcie serca, pustka w mózgu. I naraz, nie wiadomo kiedy, lądowanie.

Frankfurt nad Menem. Trzy godziny czekania na połączenie. Długi, szeroki korytarz jak ruchliwa widownia, przed którą paraduje świat. Przed oczami przewija się taśma ruchomego chodnika pełna najbarwniejszych postaci. Wszystkie rasy wyznaczyły sobie tu spotkanie: dziesiątki bosonogich Ghandich w białych szatach, ciemnowłose hinduskie piękności z kastywym znakiem na czole, w kunsztownie upiętych, barwnych sari (jak one wsiadają do autobusu?), setki drobnych, ruchliwych Japończyków w nieskazitelnie uszytych europejskich garniturach, Murzyni w mundurach armii amerykańskiej, powracają z jednostek stacjonujących w Niemczech Zachodnich (swoista okupacja tego przęnego kraju, który tak łatwo zapomniał o wojnie). I tłumy bezbarwnych białych, obojętnych, pewnych swojej wyższości: to przecież oni są Europejczykami, oni odkryli Amerykę.

Taśma przesuwana się, w zależności od czasu przylotów raz pusta, raz pełna. Różnokolorowe, rozbiegane dzieci niewiadomej rasy i pochodzenia. Charakterystyczne sylwetki grubych i chudych, ubranych w różowe sweterki ladies, które zwykliśmy uważać za typowe Amerykanki, ponieważ głównie one mają czas i środki, aby podróżować dookoła świata. Młode dopiero zaczynają zarabiać na swoją pogodną starość.

Po godzinie jestem już trochę znużona oglądaniem tego kolorowego filmu, w którym brak aktorów, są jedynie tłumy statystów. Brak

też ciągłości akcji, a jak długo można bawić się dorabianiem życiorysów do migających postaci? Jednakże nie mam po co przechodzić dalej, do sal pełnych sklepów i stoisk, na których wabią aparaty fotograficzne, komputery, perfumy Chanel i Guerlaina'a, gdzie w DUTY FREE SHOP obok francuskich koniaków i Stolicznej, najspokojniej w świecie stoi sobie nasza czysta Wyborowa. Natura pozbawiła mnie właściwej tyłu kobietom pożądlivosti posiadania. Wchłaniam w siebie tylko trochę otaczającego mnie świata. Ale już budzi się ciekawość: jak będzie tam, za Oceanem? Zawleszenie między jednym, znanym do znudzenia istnieniem, a nowym, nieodgadnionym bytem – w przebraniu cudzoziemki.

PRZYLOT – KENNEDY AIRPORT

Radość przyjazdu jest czysta, nie zmacona powitaniem. Nikt mnie nie oczekuje. Nieznany świat otwiera się tylko dla mnie. Za mną zostały obowiązki, rodzinne przywiązania, tysiączne nici splecionych międzyludzkich układów. Gdzieś wysoko w powietrzu te nitki jeszcze się ciągną jak biała smuga spalin odrzutowca, rozsnuwająca się, coraz słabiej widoczna. Zapominam o nich, nie chcę o nich wiedzieć, jestem sama, jestem wolna, nie muszę się liczyć z ni-

kim i z niczym. Nikt mnie nie obchodzi w tym bogatym, ogromnym, obcym mieście, z którego będę czerpać same przyjemności, które obdarzy mnie tym, co ma najlepszego.

Zadnych obciążeń, żadnych problemów, żadnych trudności. Obserwacja ludzi, zwyczajów, krajobrazu, przewąchiwanie zagadnień, które można by później, kiedyś, wykorzystać. Na pewien czas wykreślić z pamięci kraj, jego odwieczne problemy, rodzinę, przyjaciół, pamiętać tylko to, co najlepsze, przesyłać o sobie jedynie krótkie informacje, najlepiej na lśniących widokówkach. Nie myśleć o jutrze, chłonąć to, co mnie otacza, co się dzieje teraz, tutaj, w tej chwili.

Wychodzę z dusznego wnętrza samolotu przez podstawiony do kadłuba długi rękaw, łączący Boeinga z budynkiem lotniska. Czerwone chodniki, strzałki wyznaczające kierunek, pustka i odgłos czyichś kroków za mną. Idę pierwsza, niecierpliwa, żeby wreszcie „postawić stopę na nieznanym lądzie”, bo przecież to przejście korytarzem nie pozwala od razu dotknąć ziemi. Na kliszy pamięci pojawia się nagle Papież, schodzący po podstawionych schodkach, klękający na rodzinnej ziemi, w głębokim pochyleniu składający na niej powitalny pocałunek. A więc moja pamięć już tam wraca? Nie będę całowała amerykańskiego bruku. Ten rękaw, ten korytarz jest jeszcze przedłużeniem podróży, po tylu godzinach lotu tracę poczucie czasu i rzeczywistości, ale oto szklane drzwi, barierka, kontrola paszportów, oczekiwanie na bagaż, wyjście z napisem „nic do oclenia”.

Już po wszystkim. Przypinam walizkę do kółek, rozglądam się, z daleka kolejna oświetlona CITY, TAXI, BUS. Jeszcze jedno szklane drzwi, autobus z oznaczeniem AIRPORT TER-

MINAL, kierowca ładuje walizki, zamyka klapę bagażnika, inkasuje opłatę, wsiada, zapuszcza motor, wszystko dzieje się szybko i sprawnie. Zajmuję miejsce z przodu, żeby dobrze widzieć. Obok mnie ciemnoskóra stewardessa w błękitnym kostiumie i kapelusiku w kształcie melonika, nie uśmiecha się już zawodowym uśmiechem, obowiązującym w samolocie, rozluźniona, ale poważna, pewnie myśli o domu, o czekającej na nią rodzinie. Zachodzi u niej odwrotny proces niż u mnie, ona usiłuje nawiązać przerwane nici, wraca. Obserwuję ją spod oka, nienatrzętnie. Ciemna twarz pod błękitnym rondkiem wywołuje we mnie nagle ogromną sympatię i nieuzasadnioną radość, jest to ta sama radość ze zmiany, z podróży, ze skoku przez ocean. Autobus zatrzymuje się przed budynkami kilku innych linii lotniczych, AIR FRANCE, SWISSAIR, SABENA, w głowie się kręci od nazw przywołujących cały świat, od zapalających się neonów. Pasażerowie wsiadają, teraz pasmo zieleni odcina asfaltową jezdnię, na seledynowym niebie różowieją pasemka zapowiadające zachód, ale wciąż jeszcze trwa dzień, długi, wspaniały dzień, w którym otwiera się świat.

Nieoczekiwanie długa jazda, kilometry ulic, ciemność tunelu pod Wschodnią Rzeką, sekunda rozczarowania, że autobus nie wspina się na żaden z mostów łączących ląd z Manhattanem, w wyobraźni Most Brooklyński, wizja gmachu ONZ jak ogromne pudło zapatek, wieżowce. Wreszcie wyłot z tunelu, drapacze chmur przybliżają się gwałtownie, kamienna wyspa najeżona iglicami, ulice zwężają się i rozszerzają, w raptownie zapadającym zmroku zapalają się tysiące neonów i oto dworzec lotniczy. AIR TERMINAL, koniec jazdy, początek nowego.

cdn.

**„Aleje 3” w internecie,
na stronie Biblioteki Publicznej
im. dra Władysława Biegańskiego
www.biblioteka.czyst.pl**

**„Koncert, koncert, koncert
na dwieście serc
i jeden jubileusz...”**

Było wzruszająco, pięknie, lirycznie i dynamicznie. W Studio PR im. A. Osieckiej w Warszawie, 20 marca 2003 roku, na koncercie jubileuszowym z okazji 40-lecia pracy przy mikrofonie Piotra Kaczkowskiego. Imprezę zorganizowali i sfinansowali wierni słuchacze Prezentera Wszechczasów i Laureata Złotego Mikrofonu.

Nieprzypadkowo wybrane, ukochane miejsce Jubilata, stało się sceną i widownią sercem dyktowanego koncertu, w którym udział wzięli: Perfect z premierową, jubileuszową wersją „Autobiografii” (napisaną specjalnie na tę okazję przez B. Olewicza), M. Ostrowska, M. Piekarczyk, S. Sojka, zespół Fallin (który prologiem koncertu uczynił „Rzepkę”, utwór wykonany przez siedmioletniego Pana Piotra w owym studiu), a w mini recitalu Mirosław Czyżykiewicz. Słowem mówionym wzruszał do łez Stanisław Szelc, który wystąpił w podwójnej roli, także interpretatora tekstu Jana Węglowskiego. Koncert fenomenalnie, ciepło pięknie wyważając grę nastrojem poprowadziła Monika Makowska. Przeplatała swe zapowiedzi jingle’ami audycji Pana Piotra oraz nagrami przez nieobecnych artystów życzeniami: P. Kukiza, Kory, M. Staszczyka, K. Cugowskiego, W. Wąglewskiego i E. Bartosiewicza. Zaprosiła też do wspomnień J. Kosińskiego, W. Pogranicznego oraz M. Pęczaka.

Jubileusz zaszczylił swą obecnością Halina i Marek Borowscy, Andrzej Korman, który 35 lat temu zaproponował Panu Piotrowi „Minimax”, dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni oraz oczywiście „sprawcy” tego przygotowanego w tajemnicy wydarzenia, czyli słuchacze.

Jubilat wywiódł w pole publiczność siadając z boku sali i pozostał niewidoczny do owacji na stojąco, po odśpiewaniu przez 200 osób polskiej wersji utworu „Cheerio”, pięknie przetłumaczonej przez K. Kubalę. Potem były życzenia, kwiaty i prezenty oraz ulubiony przez Pana Piotra tort czekoladowo-wiśniowy z mottem koncertu „nie ma przypadków”.

Było to wydarzenie bezprecedensowe chyba w skali światowej. Iluż bowiem dziennikarzy na świecie wierni słuchacze uhonorowali taką fetą?

Bez precedensu jest również fakt, że władze PR i pseudo-luminarze polskiej kultury za-

miast uczcić wymierne sukcesy radiowej osobowości wszechczasów, współtworzącej przez 40 lat polskie radio publiczne, całkowicie ją zlekceważyły.

Zignorowano nie tylko datę. W dzień po nieudanej próbie odwołania uroczystości przez dyrektora Trójki, W. Laskowskiego, pod pretekstem rozpoczętej wojny w Iraku zabrano Panu Piotrowi czwartkową audycję (od 24.00 do 2.00).

Joanna Grochowska

**„Nie trzeba
kłaniać się
Okolicznościom,
a Prawdom
kazać, by za
drzwiami stały”**

C.K. Norwid

Dzięki życzliwości redakcji „Alej 3”, mam możliwość zaprezentowania Państwu pierwszej części wywiadu z legendą polskiego radia publicznego, Panem Piotrem Kaczkowskim, który 20 marca tego roku świętował 40-lecie swego mikrofonowego debiutu.

Czekałam na ten wywiad 5 lat. Pierwszy raz zwróciłam się do niego z taką prośbą w roku 1998, kiedy objął stanowisko dyrektora Programu III PR. Jednak zgodę udało mi się uzyskać dopiero w lutym tego roku.

Program III PR od czerwca 2000 roku, tj. od chwili odwołania Piotra Kaczkowskiego ze stanowiska dyrektora, ulega systematycznej pacyfikacji i komercjalizacji. Najlepszy eter w kraju, elitarna antena dla inteligencji poległa w boju z idee fixe („radio mile towarzyszące”) szefa programowego PR, E. Smolara i póki co nic nie zapowiada zmian na lepsze. Mimo trwającego od ponad dwóch lat bardzo konse-

kwentnego protestu przeciwko niechcianym i niekorzystnym zmianom, archiwizowanego na stronie internetowej www.tajniak.pl/protest, proces degradacji tego radia publicznego trwa i jest faktem. Kłamliwe wypowiedzi władz radia oraz oszczercza kampania przeciw osobowości radiowej wszechczasów systematyczne deprecjonowanie jego osiągnięć, jednoznacznie wskazują na upadek radia publicznego i dobrych w nim obyczajów.

Zatem z tym większą przyjemnością pragnę zaprosić do wspomnień mistrza pięknego słowa, czarodzieja nastroju antenowego, guru kilku pokoleń słuchaczy i dziennikarzy muzycznych.

Joanna Grochowska. W radio pracuje Pan od 20 marca 1963 roku. Mija zatem 40 lat od chwili, kiedy po raz pierwszy zasiadł Pan przed mikrofonem Rozgłośni Harcerskiej. Czy była to realizacja dziecięcej obietnicy złożonej po występie przed mikrofonem PR: „Ja tam będę pracować”, czy przypadek?

Piotr Kaczkowski. Nie ma przypadku. Miałem mniej więcej siedem lat, kiedy moja pani profesor ze szkoły muzycznej wytypowała mnie do zagrania na fortepianie w radiu przy ulicy Myśliwieckiej (w Studiu M-2, które dzisiaj jest Studiem im. Agnieszki Osieckiej). Fortepian stał na środku studia, ja miałem zagrać „Rzepkę”, a potem zapytać siedzące wokół 3-4-latkę – „No i jak tam dzieci, czy podobała wam się „Rzepka?” Zagrałem, ale to zdanie było dla mnie tak sztuczne, że nie mogłem przez nie przebrnąć. Kilka razy ktoś instruiował mnie: „Słuchaj, powiedz to jeszcze raz inaczej, powiedz to weselej...”

Pamiętam, że przyjechaliśmy do radia taksówką i pamiętam tę taksówkę. To dziwne, jak silnie może się odcisnąć wspomnienie taksówki, budynku, wejścia, schodów, studia, fortepianu, dzieci, głosu, który słyszałem.

Nie pamiętam tego, ale rodzice przez wiele lat mówili mi, że tego dnia oznajmiłem: „Ja tam będę pracować!” i mniej więcej 10 lat później pojawiłem się na Myśliwieckiej. Rozgłośnia Harcerska mieściła się przy ulicy Konopnickiej w Warszawie (dawny budynek YMCA) i tam spotykaliśmy się raz w tygodniu w Klubie Przyjaciół Piosenki założonym przez Witolda Pogranicznego, autora popularnej audycji niedzielnej. Te same audycje były nadawane co godzinę od 10-tej do 18-tej. Rozgłośnia ta działała na falach krótkich, które się jakoś dziwnie „rozchodziły”. Przychodziły listy, że

np. ktoś posłuchał w „wysokiej” Skandynawii, natomiast w Warszawie nie było dobrze słychać. I właśnie tam, 20 marca 1963 roku, wziąłem udział w pierwszej audycji. Rozgłośnia Harcerska nagrywała wtedy u siebie i na Myśliwieckiej.

A w studio na Myśliwieckiej realizatorem dźwięku był Wacław Grzybowski (nie żyje od kilku lat), który po nagraniu zadawał mi różne pytania. Ja odpowiadałem. Najbardziej intrygowało go, że jestem dopiero w IX klasie (dziś III klasa gimnazjum) i mam jeszcze kilka lat szkoły przed sobą. Potem zauważyłem, że rozmawia z Witoldem Pogranicznym. Okazało się, że on usłyszał „coś” w moim głosie. Nie wiem co, bo mój głos był straszny, dziecinny, szkolny, okropny. Zaczęłem otrzymywać telefony od działu realizacji Polskiego Radia czy nie wzięliby udziału w audycji. Zwykle miałem kilka zdań do przeczytania, za co zresztą otrzymywałem pieniądze, ale realizator w tym czasie jeszcze mnie szkolił. Czytałem – Pan Wacław słuchał, potem pokazywał mi, w którym miejscu zrobić przerwę, gdzie wziąć oddech, gdzie postawić kropkę.

Teraz – malusieńka dygresja. Cały czas mi się zdaje, że w dzisiejszym świecie wszystko do nas mówi jeden człowiek, jeden wielki brat. Mówi do nas ze wszystkich miejsc zawsze ten sam głos i zawsze tak samo. Przypominam sobie, jak pewnego amerykańskiego prezentera uczono, że się mówi „this is eeeNBiiiiCi!!!”, a on mówił po prostu eNBiCi.

Zaczęłem robić te audycje w Rozgłośni Harcerskiej, dzięki czemu byłem najważniejszy w szkole i w ogóle. Żle się to oczywiście odbiło na mojej nauce i stopniach, ale jakoś skończyłem szkołę, a potem nawet studia.

J.G. Czy potrafi Pan wymienić tytuły wszystkich audycji, które prowadził Pan przez te lata? Czy wszystkie były autorskie? Które z nich ocalały? Które lubi Pan najbardziej? Czy próbował Pan policzyć ile audycji nagrał Pan w ciągu 40 lat pracy?

P.K. Ile? Od samego początku? Ja myślę, że potrafię je wymienić. Kiedyś słuchacze mi policzyli. W tej chwili zegar przeskoczył 12 tysięcy. Wśród tego było 700 „Popołudnia z młodością”, 1600-1700 „Minimaxów”, a to jest audycja, którą zacząłem robić od 22 września 1968 roku i z małymi przerwami istnieje do dzisiejszego dnia. To już prawie 35 lat. Pierwszy był „Klub przyjaciół piosenki” w Rozgłośni Harcerskiej, kiedy po raz pierwszy przed mikrofonem powiedziałem od razu pełne zdanie,



zapowiadając piosenkę The Beatles „Love Me Do” i piosenkę Heleny Majdaniec „Pędzi, pędzi pociąg”, czyli „One Way Ticket” Neil’a Sedaki. Potem „30 minut rytmu”. Witold Pograniczny zaproponował mi po 2-3 miesiącach współprowadzenie z nim tej audycji. To było niespotykane wyróżnienie. A potem mini rzeczy, które właściwie czytałem dla Programu III, a nie prowadziłem. Teksty napisane przez Witolda Pogranicznego, które przedstawiały sylwetki artystów ilustrowane piosenkami Cliffa Richarda, The Shadows i innych, wtedy ważnych. Potem była audycja, którą robiłem dla Programu III sam. Miała tytuł „Con Amore”. Prezentowała włoskie piosenki. Miałem przyjaciela, z którym chodziłem do szkoły od pierwszej klasy do matury. Mieszkał w Rzymie, wcześniej w Wenezueli, gdyż jego rodzice byli na placówce dyplomatycznej. On mi przysyłał płyty, ale potem musiałem mu je odesłać. Ktoś, kto przyjeżdżał do Polski, przywoził mi 8-10 małych płytek, dwójek, dzisiaj mówi się „singli”. Wtedy nie było żadnych piosenek, a zwłaszcza włoskich. Ktoś przywoził mi te płyty, ja miałem je dwa tygodnie, w radiu przegrywało się je na taśmie i potem wracały do Rzymu. U nas zostawały jako nagrania. Z nich robiłem audycje o włoskiej piosence, a ponieważ kolega przysyłał mi także trochę informacji o artystach którzy je śpiewali, więc miałem z czego zbudować tekst. Każdy chciał robić audycje o Cliffie Richardzie, zespole The Shadows i Elvisie Presley’u, a o włoskiej piosence – nie.

Potem, 30 września 1965 roku, w Programie I PR, powstało „Studio Rytm”. Była to codzienna audycja z muzyką młodzieżową. Takie „30 minut rytmu” z Rozgłośni Harcerskiej, tylko w najważniejszym programie. Istniał jeszcze Program II i już III, który był cały czas programem eksperymentalnym. Zaczynał się o 17.00, a kończył się o 23.00. To prezes Włodzimierz Sokorski podjął decyzję, żeby tę audycję wprowadzić. Zostałem tam zatrudniony. Nie było etatu, ale było coś w rodzaju umowy odnawianej co pół roku. Byłem po maturze, nie dostałem się na studia. Spełniałem w redakcji wszystkie obowiązki i otrzymałem dwa „odcinki” w tygodniu do zapelnienia. Nazywały się „NON-STOP Studio Rytm”. Potem prowadziłem kolejną audycję „Rytmostopem po kraju i świecie”. Robiliśmy ją wspólnie z Tadeuszem Sznukiem. Następnie w Studio Rytm obsługiwałem audycję „Sylwetka piosenkarza” obsługiwałem też „Listę Przebojów Studio Rytm” (do ostatniego dnia).

Kiedy na antenie miała się pojawić audycja Witolda Pogranicznego „Ulubieńcy naszych ulubieńców”, w której Piotr Szczepanik opowiadał o swoich utworach, Andrzej Korzyński, kierownik, napisał mi na kartce papieru krótką zapowiedź: „Rozpoczynamy dzisiaj zupełnie nową audycję, będziemy się spotykali codziennie” i ja to nagrałem. Zapowiedź doklejono do pierwszej audycji. Pewnie by została, gdyby dwa czy trzy tygodnie później nie została powtórzona, w związku z czym odcięto ten początek i wyrzucono. Nie można było bowiem dwa razy wprowadzać audycji na antenę. Robiłem również ostatnią audycję Studio Rytm, zatem jestem tym człowiekiem, który był w redakcji od pierwszego do ostatniego dnia, z przerwą w środku.

Zaraz potem, 1 lutego 1966 roku, powstało „Popołudnie z młodocianością”. Zostałem tam i ja w jakiś sposób zwerbowany, ściągnięty. Ktoś usłyszał mój głos, komuś ten głos do czegoś pasował. Zwracano mi uwagę, że był odrobinę inny, może troszkę „młodzieżowy”. Kiedyś nawet usłyszałem człowieka, który zdecydował o czymś, o głosach, o ludziach, jak powiedział: „No, ale zobaczcie jak ten Kaczkowski wymawia „The Beatles”. Nie tak jak wszyscy: „Ze Beatles” albo „Dze Beatles”. Usłyszałem to zdanie i byłem dumny. Czuję się tylko nieswojo, że je „podśluchałem”, choć nie podśluchiwałem, tylko ono do mnie dotarło. Taki ktoś kiedyś powiedział: „Ten Kaczkowski się nie nadaje”, a na to Bogdan Majchrzak (bo jego mam na myśli) odpowiedział: On mówi „Thy Beatles” tak, jak mówią w radio Luxembourg”. No i może to zdanie zdecydowało, że mnie zostawiono. Byłem przecież złotodziobem, który prawie nie miał pojęcia o radiowej pracy.

„Popołudnie z młodocianością” to była szkoła. Codziennie o 10.00 spotkanie, o 11.00 wejście do studia, do 13.00 praca, a potem stan pogotowia do 16.00, kiedy to nagrana audycja wchodziła na antenę. Jeden raz trzeba było coś zrobić na żywo. Zginął Komarow, radziecki kosmonauta. Tego dnia audycja się zaczynała od felietonu „mimo, że kosmos pochłonął już pierwsze ofiary, to radziecki sztandar wysoko dźwizy radziecki kosmonauta” i tak dalej, a... on właśnie zginął.

Potem przyszła propozycja z Trójki żebym robił „Minimax”. W Trójce robiłem pojedyncze audycje. Widocznie znów mój głos został zauważony, a może moja pasja muzyczna i pewna operatywność w zdobywaniu materiału pły-

towego, co wtedy było karkołomnym zadaniem. „Minimax” zaproponował mi Andrzej Korman, ówczesny kierownik redakcji muzycznej. Potem była Muzyczna Poczta UKF, „Mój magnetofon”, który z cotygodniowego programu Witolda Pogranicznego o tym samym tytule rozrósł się do codziennej audycji. Kiedy ktoś z decydentów powiedział, że to nie może się tak nazywać, wtedy zmieniliśmy nazwę na „Kiermasz płyt”.

W Trójce była jeszcze taka audycja „Korowód taneczny”. Trwała 2 godziny, nikt nic nie mówił, tylko muzyka ładnie grała. O, to było bardzo przemyślane. Pamiętam jak Grzegorz Wasowski siadał nad taką audycją i dobierał piosenki, żeby był w tym sens. Ja to nazwałem wtedy i czasami nazywam dziś – układaniem domina. Kostki muszą się zgadzać, bo nie można wrzucić, zamieszać w bębnie i wyjąć jak wypadnie. Myślę, że radio właśnie na tym polega, żeby wiedzieć dlaczego coś jest teraz, a coś innego było przedtem. Jak się tego nie wie, nie czuje, to należy zająć się zupełnie inną pracą. Najważniejsze, by słuchacz nie słyszał zgrzytów, wszystko musi być bardzo dokładnie oszlifowane.

Jakie były jeszcze potem audycje? „W tonacji Trójki”. „Zapraszamy do Trójki” - pierwsza audycja w Polskim Radiu z telefonami na żywo. Powstała w Trójce w roku 1973, skończyła się w 1980. Skończyła się, ponieważ – „Co tu będą ludzie na żywo opowiadać, prawda, szczególnie w gorące lato 80. roku”. Ale co jest ciekawe i cudowne: ta audycja, wprowadzana przecież w tak trudnym okresie, przez tyle lat nie miała w sobie nic politycznego. Nikt np. nie krzyknął „Precz z komuną!”. Myślę, że słuchacze mieli świadomość, że nie wolno im robić sobie krzywdy. Boli mnie, gdy widzę, że w tej chwili odchodzi się od audycji z udziałem słuchaczy na żywo.

J.G. A Pół Perfekcyjnej Płyty?

PK. Pół Perfekcyjnej Płyty wymyśliłem całkiem niedawno jako swoją audycję, prezentowaną w ramach „Minimaxu”. Kiedy zauważyłem, że się spodobała, tytuł i zawartość, to rozszerzyłem, bo miałem taką możliwość, PPP do codziennego programu.

Dlaczego Pół Perfekcyjnej Płyty? Ponieważ przez całe lata radio i ja w Trójce też – graliśmy całe płyty. Kiedy pojawiły się w Polsce zagraniczne koncerty, które te płyty promowały i sprzedawały, to: po pierwsze – nie było już potrzeby, żebyśmy my odtwarzali te płyty w całości (skoro one nie są tym zakazanim to-

warem, przemyconym gdzieś z dalekiego świata), a po drugie – nie można robić krzywdy ludziom, którzy zajmują się sprzedażą płyt. Nie można po prostu jednego dnia pozwolić, żeby pół miliona ludzi płytę zarejestrowało i stwierdziło: „Po co mam kupować, skoro już mam?” Rozmawiałem z wytwórniami, co by było gdybyśmy grali pół płyty? A one odpowiadały: „Wspaniale!” To wam robi dobrze, a nam ewentualnie przysporzy zainteresowania. Komu się spodobało pół, to będzie chciał usłyszeć drugie pół”. Szkoda mi tej audycji.

I tu mała dygresja – mnie się zdaje, że tak trzeba budować radio. Zrobić mały test, sprawdzić czy coś się podoba. Jak się podoba to trzeba rozbudować, jak nie – zlikwidować póki nikt nie zdążył zauważyć, że było. Nie ma nic gorszego niż wprowadzać z wielkim hukiem coś, a gdy po 2 tygodniach okaże się totalną klapą, to wszystkie nakłady, reklamy wyrzucać do kosza...

J.G. Czy MINIMAX jest najbardziej ulubioną Pana audycją?

PK. Nie, ja nie mam najbardziej ulubionej. A w tej chwili mam w ogóle dwie, więc nie mogę mówić, która jest moją najbardziej ulubioną, skoro jedna się nazywa Minimax, a druga Milimax. Taką nową nazwę zupełnie na chwilę wymyślili słuchacze.

J.G. Według jakich kryteriów dokonywał i dokonuje Pan wyboru tematów do audycji?

PK. U mnie nie ma tematów. Tematy zdarzały się w czasie „Zapraszamy do Trójki” przed wieloma laty. Przychodziło się do kierownika redakcji, który jeżeli był zachwycony, to biegł od razu do dyrektora i mówił – „Pani dyrektor, Kaczkowski wpadł na taki niesamowity pomysł” i wtedy ja drząc wchodziłem do gabinetu pani Ewy Ziegler i mówiłem, że wpadłem na pomysł, żeby zmierzyć słuchalność stacji przez włączenie lub zgaszenie stuwatowej żarówki w domu. Jak się potem zobaczy ile wyszło w centralnej dyspozycji mocy, podzieli przez sto, to bez kosztownych badań, oczywiście z pewnym marginesem błędu, będzie można to zbadać. I zrobiliśmy to. Mnie ten pomysł przyszedł do głowy w piątek, audycja była w sobotę. I zrobiłem wszystko właściwie sam – łącznie z umówieniem się z panem inżynierem, który był tego dnia na dyżurze, że on przez telefon mi będzie opowiadał, czy skoczyły wskaźniki! No i skoczyły! Takie tematy przychodzą nagle ni stąd ni zowąd, – coś gdzieś nagle zaiskrzy. A tak to ja właściwie nie mam tematów – ja układam domino.



foto. Piotr Dłubak

Małgorzata KOT

(1973) absolwentka filologii polskiej – WSP w Częstochowie i angielskiej – częstochowskie Centrum Języków Europejskich – filia Uniwersytetu Wrocławskiego. Od pięciu lat pracuje jako lektor języka angielskiego.

Prezentowane wiersze i fotografia pochodzą z będącego w przygotowaniu tomiku poezji.

w muzeum egipskim
znalazłam
moje z mumifikowane ciało
martwa kobieta
patrzyła na mnie
moimi oczami
nagle źrenice
napętnione blaskiem
umrą
jeśli odejdiesz
powiedziałeś i wiatr
moje serce zostanie
kobieta strzeżona szkłem
leży nieruchomo łagodnie
czeka
cztery tysiące lat
na cud
pomóż mi
muzeum egipskie ochrania
kilkuset żołnierzy z karabinami
nie uciekniemy

II 2001

piękna pani
urządziła bal
zaprosiła nikogo
i czeka

pięknej pani
tusze spływa
po twarzy
i brudzi

piękna pani
założyła żyłki
zamiast korali
i śpi
piękną panią
poobklejam ściany

zatrę ślady
i wyjde

XI 2002

gdybyś mnie umył
miałabym ciało
różowe

gdybyś mnie ubrał
miałabym krew
cieplą

gdybyś mnie rozpruł
byłabym wiatrem
w gałęziach

gdybyś się nie urodził
nosiłabym kolorowe sukienki
w sanatorium
pod klepsydrą

XII 2002

PENELOPA

przylulała ucho do ziemi
by oszukiwać
że nastuchuje jego kroków
a upajała się
wonią kamieni

kiedy wrócił
była zbyt stara
żeby się schylać.

XII 2002

tu płacą za miłość
odciętymi łbami wodorostów
podzielił rzęsy i brwi
w mięszu tkanek
wyhodujesz bujne włosy
ponaklejasz płyty skóry
dorysujesz wzrok
z wózkim
staniesz na straganie
już skończyło się zebranie
kup laleczkę dobry panie
będziesz lekkie miał konanie
la la la

I 2003

MURKOMAHU
TIBER

LIBER
CHAMORUM

Postaci Krystiana Piwowarskiego nie trzeba chyba szerzej przedstawiać: redaktor naczelny „Alej 3”, autor pięciu książek drukiem i jednej w internecie. Po dziewięciu latach przerwy Piwowarski wydał powieść (fragmenty prezentowaliśmy w naszym magazynie), jakich niewiele się w Polsce pisze. Porównywalna jest z ostatnimi dokonaniem E. Redlińskiego, który z taką samą zawziętością piętnuje polskie przywary narodowe. Kiedy trzy lata temu czytałem maszynopis, bardzo chciałem, żeby ta książka ujrzała światło dzienne. Teraz ciekaw jestem jej odbioru, gdyż wbrew pozorom nie jest to pozycja łatwa, a od czytelnika (wyrobionego) wymaga pewnego dystansu wobec siebie i swojej nacji oraz znajomość hi-

storii. Piwowarski przeklina swój los, to że jest Polakiem, że mieszka tu a nie gdzie indziej. Prawdopodobnie te uczucia są motorem jego twórczości, obok drugiego impulsu – niechęci do dzisiejszych, zglobalizowanych czasów, kultury masowej, schamienia. Myślę, że „Homo Polonicus” był przyjemną ucieczką w przeszłość, do epoki, którą autor lubi i w młodości dokładnie przestudiował. Krystian jest polonistą i zna polszczyznę, także tę dawną, barokową – z której często czerpał też Gombrowicz. Nie przypadkowo wspomina autora „Transatlantyku”, gdyż w wielu miejscach zauważa zbieżność.

Główny bohater powieści Piwowarskiego – Xiążę Stanisławczyk – kolaborant gardzący polskim ziemiaństwem, roi na jawie, że zostanie wkrótce królem Polski i odegra się wtedy na wszystkich złośliwych (w jego mniemaniu) sąsiadach. Stąd wynika cały komizm poczynających postaci, wciągającej w swoje intrygi nawet chłopskiego rozbójnika Kapustę (karykatura Janosika). „Homo Polonicus” zdecydowanie demoralizuje. Mieszkańcy miasteczka to pieńiacze, oszuści, karciarze, fajdacy, dziwkarze, łapówkarze. Ciemnogród, zabobon i wstecznictwo. Xiążę – osobliwy antypatriota – rysuje się ze swoimi królewskimi mrzonkami i groteskowym rozdarciem wewnętrznym niczym Król Ubu. Wielokulturowe bagienko, w którego „stronach rządziły korńskie lby, ale w trójnasób fantastyczne” nie oszczędza żadnej z nacji: chytrych Żydów, awanturniczych Polaków, przedsiębiorczych Niemców, zniewiesiałych południowców, rozpustnych Rosjan. Autor korzystając z gotowych stereotypów, świadomie nie pisze o nich prawdy, gdyż umysł tytułowego bohatera i jego postrzeganie świata jest tak zniekształcone, że nie trzeba było wiele dodawać, aby osiągnąć efekt przerysowania, ironii, makabrycznej groteski.

Jakbym tej książki nie analizował, zawsze powracam do korzeni romantycznych, gdyż jest ona osadzona w realiach późnego Romantyzmu (rok 1846, czasy rabacji chłopskiej w Kongresówce przy granicy z Galicją). Polska tradycja jest w tym temacie dosyć schematyczna. Romantyzm to także twórczość jarmarczna pełna rozbójników, czarów, nietoperzy, skrytobójców, fantasmagorii i ludycznej wiary w Lucypera. Piwowarski pokazuje drugą stronę medalu (bliższą Paska i Rzewuskiego), tę trywialną, przyziemną, być może prawdziwą. Mickiewicz trafił do wąskich elit, a masy żywiły się czymś innym. Daleki jestem od porównań tych

Krystian PIWOWARSKI
HOMO
POLONICUS



Stowarzyszenie „Nasza Częstochowa”

dwóch autorów, więc panu Krystianowi przydzieliłbym szufladkę „osobliwej” powieści historycznej. Czytelnik może się nieźle bawić rubasznym dowcipem i dosadnymi sarmackimi monologami, swojszczyzną głębszą, niż kanony lektur przewidują. Piwowarski – zjadliwy antyromantyk – daleki jest od upiększania heroicznej przeszłości i budowania cokołów bohaterom. Odkłamuje, odbrażawia, ośmiesza, bo i tak nas zgubiła głupota. „Podczas gdy literatury krajów zachodnich zaczynały swoją dramatyczną przygodę z kapitalizmem, u nas uprawiano uduchowione bajkopisarstwo” – deklaruje w jednym ze swolch manifestów. Jest więc Piwowarski cynicznym realistą, nie stroniącym od turpizmu. Barokowe zamiatowanie do rozkładu, śmierci i gry instynktów jest w tej książce bardzo widoczne.

Piwowarski skroił kawał dojrzałej prozy, lepszej od poprzedniego „Paryżanina” i piwo mu za to. Jest bohater z krwi i kości, jest pornografia, nie ma mistycyzmu. Diabeł jeden wie czy ktoś to zrozumie.

S. Burszewski

„Homo Polonicus”, Krystian Piwowarski, Stowarzyszenie „Nasza Częstochowa”, Częstochowa, 2002.

PRZYPADEK CZY OBJAWIENIE?

Nowością częstochowskiego rynku wydawniczego jest debiutancki tomik wierszy Justyny Kowalik. Książka zawiera ponad czterdzieści utworów, które zostały zgromadzone pod wspólnym tytułem „Za drzwiami”. Już przy pierwszym czytaniu samostnie narzuca się podział na dwa rozdziały. Wielka przygoda z wierszami rozpoczyna się od słów: „noc zakrada się/do pokoju”. Czytelnik zostaje wprowadzony w świat pozornie tajemniczy, ale autorka z każdym kolejnym wersem jest coraz mniej enigmatyczna. Poezja Justyny Kowalik zdaje się trwać wyznając zasadę – „minimum dźwięku, maksimum sensu”. Autorka bez trudu porusza się w sferze tematyki miłosnej. „Gdy zbliży się fala grzechu” czytelnik musi uświadomić sobie fakt, że jest to zapis najbardziej autentycznych i osobistych chwil. Wydaje się, że stany uniesienia mogłyby trwać bez końca, a noc „czuwa by ranek/nie nadszedł zbyt szybko”. Poetka stara się uświadomić odbiorcy, że nie samą miłością człowiek żyje. Wyraźną granicę pomiędzy wyznaniem erotycznymi i liryką refleksyjną stanowi wiersz XXX („piję kawę”). Codziennosc pozbawiona jest

przejaskrawień, a świat przedstawiony został pełną paletą – od szarości do czerni. Po przejściu przez magiczne drzwi „pora odciąć/pępowinę”. Od tej chwili jesteśmy zmuszeni oddychać ogromem spraw natury filozoficznej i moralnej – „człowiek sięga po broń/przestaje być człowiekiem”. Coraz dalej posunięta egzystencja ma swój kres również „za drzwiami”, czy „młodość zamknięta/w pudle na strychu” nie budzi przerażenia?

Ostatnie dwa wersy znajdujące się w tomiku brzmią:

nowy wiek rodzi starego potwora
XXX („czarne sutanny”)

Ile prawdy jest w tym stwierdzeniu i w wierszach Justyny Kowalik – sami Państwo oceńcie.

Należy dodać, że piątym asem tego rozdania jest osoba Ryszarda „Sidora” Sidorkiewicza, znanego i cenionego poety, który sprawował opiekę artystyczną nad wydawnictwem. Podążając za głosami czytelników twierdząc, że już sam ten fakt wróży książce sukces.

Rafał „Jeżyk” Kasprzak

JUSTYNA KOWALIK

odkrywam
twoje
ciał
jak
nieznany
kontynent
pod
palcami
pagórki
doliny
wokół
pasma
górskie
ramion
przemierzam
językiem
długość
geograficzną
odpoczywam
przy
pępka
jeziorze
przede mną
szczyt

WIERSZE NAJTAŃSZE?

„Estetyczne opakowanie pozwala zaspokoić nie tylko pokusy duszy, ale i oka.” – czytamy uwagi Igora Stokfiszewskiego na okładce debiutanczkiego tomiku Mateusza Szkopa* i uśmiecham się. Mojego oka ten kolaż stylizowany na popart raczej nie zadowolą. Dziwny też wydaje mi się tytuł książki „WIERSZE NAJTAŃSZE”.

Jednak po lekturze kilku wierszy z pierwszego rozdziału: „nazywaj mnie swoim Adamem” ze zdziwieniem stwierdzam, że czuję się tak, jakbym wertowała książkę mojego ulubio-

nego poety Charlesa Simica. Podobają mi się długie frazy wierszy i ich wewnętrzny szybki rytm, który każe przeczytać dany utwór z takim rozpędem, aby wrócić do niego ponownie. Intryguje mnie poetycki świat Mateusza pełen paradoksów, zmodyfikowanych związków frazeologicznych (w którym nie tylko można SIĘ spalić ze wstydu, ale można też COŚ spalić ze wstydu).

Bohater wierszy to doświadczony ironista z cynicznym poczuciem humoru (z wpisaną w paszporcie datą urodzenia -18.10.1982 r), który zamiast na świat przyszedł na kredyt. Świetny demaskator naszych relacji, naszych idei, naszych słabości. Już dawno pozbył się złudzeń. Jako „duże dziecko z dużego Bullerbyn” wie, że w naszej komunikacji jest: – „najprostsze spierdalaj i najtrudniejsze dziękuję”. A miłość? Cóż, miłość bywa, ale chwilowa. Jak głosi napis namazany sprayem na murze „Miłość to piękne uczucie, ale tylko wtedy gdy nie kochasz”. A śmierć? Śmierć nie może być chwilowa: gdy przyjdzie czas zasypią piachem/z pustego mieszkania wyniosą odór gnijącego ciała (s.14).

Po przeczytaniu kolejnego rozdziału widzę ludzi „skonsumowanych przez konsumpcjonizm”, zajętych wydalaniem brudów fizjologicznych i metafizycznych, którzy już dawno wybrali jako alternatywę „BYT NIEZBYT DOSTATECZNY”: seks, telewizję lub supermarkety, w których zawsze można się zadowolić promocyjnymi cenami. W domach czekają tylko meble napromienowane pustką (s.32), rozmrożona lodówka splotła/na lenteksowej wykładzinie/wielką kałużę (s.30), kieliszki postawione na rogu stołu. Te przedmioty są świetnymi rekwizytami do naszej codziennej gry.

Autor chętnie nawiązuje do Biblii (Adam i Ewa, Wieża Babel, ostatnia wieczerza, osiołek wiozący Jezusa do Jerozolimy) może po to, aby zdemaskować stereotypy naszego tradycyjnego myślenia.

Czy po lekturze tomiku Mateusza Szkopa czuję się zaspokojona estetycznie? Raczej tak. Mam wrażenie, że jego „Wiersze najtańsze” to bardzo ciekawy debiut poetycki. Do książki będę jeszcze wracać. Może po to, aby znaleźć na entym planie jego poezji jakąś tajemnicę, której na pierwszy rzut oka nie widać.

Wioletta Grzegorzewska

„Wiersze najtańsze”, Mateusz Szkop, Wydawnictwo „Bulion”, Częstochowa, 2003

* Mateusz Szkop został zwycięzcą Turnieju Turniejów Jednego Wiersza za okres 2000-2002 (II edycja)



W paszporcie przy dacie urodzenia – 18 10 1982 Na dowód cały czas czekam

zamiast na świat
przyszedłem na kredyt
razem z pralką i telewizorem
dorastałem również na kredyt
bez światła i wody
jak plastikowe kwiaty
którym tylko obiecano życie

a teraz
trzeba go spłacić
utopić się w półmisku
kolorowych świateł miasta
albo ukryć się
jak dzieci w stogu siana
jak duże dzieci z dużego Bullerbyn
– przywiązać sznurkiem do lampy
robaczywy ząb
i zasnąć

* * *

w kościele powiedziano mi
że muszę wierzyć w Boga
bo on istnieje naprawdę
i któregoś dnia zapuka do moich drzwi

zapukał do nich dopiero po 25 latach
przekraczając próg
oznajmił na wstępie że nie jest sam
za jego plecami czała się żona
i dwójka dzieci
odstąpiłem im dwa pokoje, kuchnię
i łazienkę
opiekowałem się jego dziećmi
i traktowałem jak swoje
sypiałem z jego żoną
tak jak sypiałbym z własną
a o szóstej rano wstawałem za niego
do pracy

i tylko dla wiary
jakoś nie mogę znaleźć czasu

* * *

przebiegłem skrzyżowanie
wbiegłem po rozżarzonych schodach
byłem już na miejscu u ciebie
oparty o dzwonek do twoich drzwi
reszta wydawała się tylko formalnością:
impuls – serce – mózg – nerw – ręka – palec
– przycisk – puszka – dźwięk – ty – ja – welon
– dom – dziecko – praca – telewizja – Big brother
a jednak nie nacisnąłem go

ludzie ze spożywczaka idą tylko do nieba

obecnie na topie jest rok 2014 wytypowany przez
cudotwórcę
którego blizna w kształcie krzyża na czole pomaga uwierzyć
ostatnim ateistom w puste słowa Atomowa wojna religijna
stopnienie lodowców obu biegunów wskutek efektu
cieplarnianego i wielka powódź zagłada z rąk robotów
i komputerów a także genetyków grzebiących w naszym DNA
wielki deszcz meteorytów to już archetyp pieniąstek
romantyczny tych nielicznych Kordianów którzy wierzą
że koniec nastąpi jeszcze szybciej – wraz z nowym wiekiem

tyczasem stoję w kolejce w moim spożywczaku
i nastawiam się jak powiedziec tej młodej praktykantce
„proszę mleko i bułki” tak aby czekały na mnie
już każdego ranka albo przynajmniej tego jutrzejszego
ludzie z kolejki w moim spożywczaku znudzeni
pytają się nawzajem o te ostatnie godziny ich świata
jak wyglądają? i wspominają z ironią przeszłe chwile
jakby to była ta z ostatnich kolejek – do nieba

* * *

siedzieliśmy naprzeciwko siebie;
ona – znudzona ze swoimi adorato-dekadentami
i ja – znudzony z czarną elegancką parasolką
za oknami najprawdziwsza szkocka mgła z deszczem
(szkoda że nie ta z lodem bo można byłoby zapomnieć)
a tu w środku drinki przy barze serwuje wietnamczyk
który z serii „szef kuchni poleca” pichci sajgonki
a ludzie przepędzeni z ulicy oglądają we wspólnym
telewizorze rozdanie amerykańskich Oskarów

siedzieliśmy więc tak naprzeciwko siebie czekając
na słowa jak na republikę bananową z filmu Allena
otoczeni wpływami obcych kultur jeszcze przed chwilą
samozwańczy świadkowie jakiegoś przełomu a teraz
już tylko kamienie bo oto kilku nacjonalistów bije
i kopie Wietnamczyka zza baru
myślę sobie „cholera
to przez tę telewizję gdyby nie ona wciąż sądziłoby
że Sydney Pollock to rolnik z Podkarpacia
który kręci sobie filmy i nie byłoby tej całej jatki”

siedzieliśmy więc tak naprzeciwko siebie
nie dowiedziawszy się o sobie niczego
bowiem skonsumowani przez konsumpcjonizm
postanowiliśmy wszystko zostawić w domyśle

Mateusz Szkop

OCHRONIARZ



Elżbietę Jeziorską-Wróbel w Częstochowie kojarzy się z poezją, chociaż autorka ma już na koncie dwie powieści: „Córkę czarownicy i diabła” i wydanego Jesienią „Ochroniarza”. Druga książka była od początku owiana aurą skandalu, ponieważ opisywała częstochowskie środowiska przestępcze z początku lat 90. kiedy na naszym podwórku rodził się naprędce kapitalizm. Podczas wieczoru promocyjnego w „Dekadencji” nie doszło jednak do zamachu na autorkę, dzięki czemu ma szansę napisać swoje następne dzieła. Nie przesadzajmy – w książce można się doszukiwać podobieństw postaci i sytuacji, ale takie historie mogły się zdarzyć w każdym polskim mieście.

Sedno fabuły opiera się na historii kariery, i jej upadku, młodego biznesmena, który zaczynając od wykupienia zakładu pogrzebowego, wchodzi kolejno w inne branże: spożywcza, pralnie, nieruchomości, zastraszając, przekupując, podpalając. Jako „dziecko szczęścia” nie brudzi sobie rąk. Do mokrej roboty zatrudnia wykidajkę, przyjaciela ze szkoły-Geminusa, który jest tytułowym ochroniarzem. I tu zaczynają się problemy. Uczeń chce być zdolniejszy od mistrza, dochodzi do konfliktu... Nie zdradzam co dzieje się dalej, bo książka ma nieoczekiwane, poetyckie zakończenie. Jeziorska nie napisała bowiem klasycznej powieści gangsterskiej ani sagi mafijnej w stylu „Ojca chrzestnego”. Wprowadzając momentami jako narratorka kobietę-narzeczoną, a później żonę bohatera – łagodzi drastyczny obraz świata przemocy. Dlatego zwolennicy twardej, męskiej prozy będą niezadowoleni. Dało to jednak walor w postaci tła obyczajowego, technicznie przypominającego styl pozytywistów. Aśka jest postacią szlachetną pomagającą biedniejszemu, naprawiającą zło w najbliższym otoczeniu, uczuciową. Zaczyna się dramat kobiety wplątanej w bagno i żyjącej dzięki przestępcom, ale nie zdającej sobie z tego sprawy, ponieważ traktowana jest jak cukierek.

Plusem książki jest jej żywy język (dobrze się czyta), płynność akcji, wyrazistość postaci i tła, dobrze dobrane rekwizyty rodem z „czarnego kryminału” (zakład pogrzebowy jako sie-

dziba gangu). Minus dałbym za ckliwość, sie-lankowość i naiwność charakteru żony bossa. To trochę dziwne, żeby inteligentna pannica nie zdawała sobie sprawy z kim się zadaje, a jej postać nie ulega ewolucji – do końca gra rolę Kopciuszka przy boku księcia. Z drugiej strony wprowadza ona trochę światła do pełnego mroku świata oraz pewnej nadziei, że ten się kończy. Czy u Jeziorskiej dobro triumfuje nad złem? Miłość nad zbrodnią? Nie do końca, gdyż autorka ze względów edytorskich usunęła z książki sporo fragmentów dosyć istotnych dla fabuły (np. wątek kasyna) i z tego co wiem nie do końca miało tak to wyglądać, nie takie miało być przesłanie. Kilka nierozwiniętych motywów daje możliwość kontynuacji. Smutne to czasy, kiedy pisarze z braku pieniędzy odchudzają swoje dzieła. Cenię Jeziorską za naturalizm opisów, przyzwoity warsztat, znajomość realiów. Brakuje mi cynizmu, który powinien być obecny w relacjach między kryminalistami, zamiast łagodnego i przyjacielskiego opisu. Godne polecenia.

S. Burszewski

„Ochroniarz”. Elżbieta Jeziorska-Wróbel, Oficyna Wydawnicza „Dekadencja”, Częstochowa, 2002

OCHRONIARZ (fragment)

- Nic z tego nie będzie – właściciel knajpy stanął okoniem.
- Zbliżył się do Geminusa pewnym krokiem, zatrzymał przed nim z wysoko uniesioną głową. Za jego plecami ukazało się czterech mężczyzn uzbrojonych w potężne, drewniane pałki.
- Dostyc tego! – rzucił Geminusowi w twarz i odważnie pchnął go do tyłu.
- Co jest granel Co to znaczy!! – obok Geminusa pojawił się Grzechotnik.
- Geminus spojrzał mu w oczy.
- Co tu jest grane?
- Musimy pogadać – Grzechotnik ruchem głowy wskazał drzwi.
- Teraz? Odpieprz się! – ofuknął go. – Ja pytam...
- Teraz – upierał się Grzechotnik.
- Geminus poprawił włosy, zmierzył knajpiarza wściekłym spojrzeniem, popatrzył pytająco na mężczyzn i wyszedł za Grzechotnikiem.

– Źródło wyszło – nerwowo rzucił Grzechotnik i zapalił papierosa.

– Że jak? – Geminus uchwycił go za ramię. – Jak powiedzialesz?

– To koniec. Koniec z nim. Ma naszego Misia i dwóch innych, i Chudego – dodał szybko.

– Ma? Co to znaczy ma? – niecierpliwit się, niczego nie pojmując.

Grzechotnik milczał, siał brwi, zastanawiał się jak mu powiedzieć.

– Rozwalę mu tę budę! Puszczę z dymem! – odgrażał się Geminus.

– O co tu biega? Gadaj?! Co to ma znaczyć?

– To znaczy, – z ust Grzechotnika wydobyła się chmura dymu – znaczy, że Misio razem z Chudym siedzą już nie u nas, ale u niego. W jego kieszeni – spojrzał w twarz ostupiałego Geminusa.

– Pieprzyszi? – warknął, spoglądając na zamknięte drzwi zaplecza.

Grzechotnik zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Nie pieprzę – powiedział spokojnie. – Bob podniósł im stawkę. Przebił nas, kapujesz? Dostali jeszcze raz tyle. Są jego – skwitował.

– Dupki! Skurwiele!

– Czy ja wiem? – Grzechotnik wykrzywił usta. – Dostali więcej, a im idzie tylko o szmal. Nie? Co ty ich właściwie obchodzisz? Kim ty dla nich właściwie jesteś? Co?

– A ty? – Geminus oparł się plecami o mur, poruszył nerwowo wydatną szczęką, aż było słychać zgrzyt jego zdrowych, silnych zębów.

– Co, ja?

– Ciebie nie chcieli?

Grzechotnik uśmiechnął się trochę kwaśno.

– Nie chcieli?! – powtórzył Geminus, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

Trzepnął pięścią w mur. Widać zdał naskórek na dłoni, bo aż go coś zapiekło wykrzywił usta. Dla mnie forsa to nie wszystko – nieśmiało wyznał Grzechotnik, – Ty mi podatesz tapec, ty pierwszy i... e, co tam gadać. A ja mam swój honor – dodał ciszej.

– Honor? – powtórzył za nim Geminus i poklepał go życzliwie po plecach. – Chodźmy, chyba muszę się napić – objął go ramieniem.

Nie zdążyli wyjść z ciasnego ciemnego podwórka, kiedy nagle, jakby wypluła ich ze swej głębi ziemia, tuż przed nimi pojawili się czterej mężczyźni. Byli uzbrojeni w swoje drewniane pałki, które teraz, uniesione do góry, zaznaczyły się wyraźnie na tle oświetlonej bramy.

– Grzechotnik! – krzyknął Geminus i zanim zdążył się dobrze osłonić rękoma, poczuł silny

cios w głowę. Zrobiło mu się nagle gorąco, jakby spłynął po nim wrzątek. Osunął się twarzą na ziemię. Chciał się podnieść, krzyknąć, ale w otwarte usta wdarł się ostry, suchy piach. Następne ciosy spadały na niego jak grad z nieba. Zdołał jedynie unieść ręce i nakryć nimi głowę. Ostry ból, ogarniający ciało ze wszystkich niemal stron, pozbawił go przytomności.

Nie mógł otworzyć oczu. Nie był w stanie poruszyć nawet powiekami, czuł jakby były sklezione solidnym klejem. Chciał unieść rękę, ale ostry, przejmujący, paraliżujący wręcz ból unieruchomił ją całkowicie. Spróbował z drugą ręką. Udało się. Pełen obaw dotknął twarzy. Zdziwił się. Pod palcami miał jakąś lepka, częściowo zaschniętą maź. W tej samej chwili dotarł do jego nozdrzy potworny smród. Skrzywił się, żeby nie zwymiotować. Pomimo bólu naciągnął na dłoń rękaw swetra, przetarł nim twarz. Z trudem udało mu się otworzyć jedno oko. Przymknął je zaraz porażony ostrymi promieniami słońca.

Leżał na wznak. Spróbował więc przekreślić się na bok, sądząc, że tak będzie mu łatwiej wstać. Pałący ból w nodze i prawym boku unieruchomił go na moment. Znowu spróbował. Wsparł się mocniej na zdrowej ręce i z wysiłkiem, powoli, przesunął się na bok. Twarzą dotknął czegoś, co mogło być... ludzkim ciałem. Uchylił oko, wstrzymał oddech.

Leżał zwrócony twarzą w twarz, do Grzechotnika. Nadludzki wręcz wysiłkiem uniosł się, usiadł. Zaciskając zęby, żeby nie wyc z bólu, uchylił drugie oko. Rozejrzył się. Wokół niego, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem, wałaty się góry przeraźliwie cuchnących śmieci. Znowu spojrzał na Grzechotnika. Pochylił się nad nim, dotknął jego karku w poszukiwaniu pulsu. Ale kark Grzechotnika był już sztywny, pokryty skrzepłą warstwą krwi. Koszula okrywająca potężny tors była poszarpana, jakby dopadły ją pazury rozwścieczonych, głodnych psów. Była sztywna, nasączona krwistym płynem. Sztywna jak tektura, na której teraz leżało ciało Grzechotnika.

Geminus jęknął i zaklął cicho. Rozejrzył się znowu, czując dziwne trzeszczenie własnego karku. Fetor, owiewający go ze wszystkich stron, był nie do zniesienia. Przez chwilę wpatrywał się w martwego kumpla.

– Urządzili cię... – wymamrotał spieczonymi ustami. – Urządzili te skurwiele... Ale ja im, ja jeszcze...

Powoli, na klęczkach zaczął przesuwac się

w stronę jednej z gór śmieci. Po kilkunastu minutach tego czołgania usłyszał jakieś głosy. Zamarł, zastygł w dziwnej pozycji, nastuchując. – Może mi się przesłyszało? – pomyślał w pierwszej chwili i znowu wy tężył słuch. – Nie, tam są jacyś ludzie.

Chciał wteć się dalej, byle szybciej do nich dotrzeć, ale nie mógł. Musiał trochę odpocząć. Słońce prażyło jak oszalałe. Nagrzewało niemilosierdzie jego głowę, kark, odstonięte plecy. Położył się. Przycisnął twarz do dłoni, byle tylko nie dotykać ustami śmierdzącego, ostro parującego zgnilizną podłoża. Głosy stały się wyraźniejsze, jakby zbliżały się do niego. Uniósł głowę. Zza zwalu śmieci wyłonił się, zaskoczony jego widokiem, stary człowiek. Na głowie miał coś, co kiedyś mogło być kapeluszem, a jego zgarbione plecy i podparte kijem ciało, okrywał długi, bury, mocno zniszczony płaszcz. Stary zatrzymał się, mocniej ścisnął swój kij.

– Wszelki duch! – krzyknął i szybszym krokiem ruszył w stronę leżącego Geminusa.

Głowa Geminusa uniosła się, opadła szybko wprost na coś lepkiego. Gorzki smak wdarł się do jego ust, które otworzył, łapiąc oddech. Targnęło nim mocno.

– Rzygaj, rzygaj – stary był już przy nim. Pochylił się, przytrzymał za ramiona, starając się go unieść. Nie mógł, był zbyt stary.

Kiedy torsje ustały, Geminus szerzej otworzył oczy. Zobaczył nad sobą jeszcze jednego mężczyznę i kobietę. Kobieta, choć mocno wiekowa, ubrana była w męskie ubranie, kapelusz naciągnięty na oczy, miała drobną, filigranową figurę.

– Kto cię tak urządził, chłopie? – zapytała, przecierając jego twarz jakąś szmatą.

– Pić – poruszył suchymi ustami.

Sięgnęła do kieszeni, wydobyla z niej plastikową butelkę i przytknęła do jego ust. Przepłukał tylko usta, wypluł, poprosił o jeszcze.

We trójkę zawlekli go do czegoś, co najwidoczniej było ich domem. Była to stara, stojąca na cegłach rozsypująca się kempingowa przyczepa, mocno już fatana. Położyli go na jakimś wyrku, a kobieta zdjawszy kapelusz, podeszła do niego z miską pełną wody.

– Co, boli – bardziej stwierdziła niż zapytała, widząc jak krzywi się przy każdym jej dotyku. Mruknął coś niewyraźnie, przytknął oczy. Zdjęta z niego właściwie wszystko, pozostawiając jedynie spodnie. Tylko one były całe.

– Kieszenie masz puste – oznajmił stary, odzyskując na bok jego spodnie. – Miałeś dokumenty?

Geminus zaprzeczył ruchem głowy, jednocześnie uświadamiając sobie, że nie ma też przy nim broni. Pomyślał, że to nawet lepiej.

– A forse, forse miałeś?

Skinął, że tak. Stary uśmiechnął się jedną stroną ust.

– No, to już nie masz – rozłożył obie ręce. – Napadli cię? – zamrugał zaczerwienionymi, widząc chorymi oczami. Geminus chciał odpowiedzieć, ale zakaształ tylko.

– Palisz? – odezwał się drugi mężczyzna, stojący w drzwiach.

Skinął głową. Tak, nie wiedzieć czemu, miał ochotę na papierosa. Poczul go za chwilę w ustach, zaciągnął się łapczywie, znowu zakaształ.

– Spokojnie – stary poklepał go lekko po ramieniu Geminus syknął. – Wiesz chociaż gdzie jesteś? – głos starego był spokojny.

Cofnął rękę z ramienia Geminusa, usiadł okrakiem na odwróconym do góry dnem wiaderka.

– Nie – odpowiedział, chociaż domyślał się, że to nic innego jak jedno ze śmietnisk położonych tuż za miastem. Nie wiedział tylko, które.

– O zmroku ktoś przyjedzie. Na motorze – stary przetarł zażawione oczy rękawem płaszcza.

– Jak by co, to może cię zabrać. Chcesz?

– Tak. Dziękuję – powiedział wolno, prawie wcale nie otwierając ust.

Szczypały, paliły. Papieros dopalił się w jego ręce, prawie parzył koniuszki palców.

– No i patrz go – roześmiała się kobieta – tyle machory zmarnował.

Zabrała peta z jego ręki i wrzuciła do puszeki z wodą.

– Co, może chcesz na siebie spojrzeć? – nie czekając na odpowiedź, podała mu kawałek lusterka.

Wziął bez słowa, spojrział i odetchnął z ulgą. Myślał, że wygląda znacznie gorzej. Twarz co prawda była opuchnięta, miał pęknięty łuk brwiowy i rozplataną część policzka,

jednak rany nie były aż tak głębokie, jak myślał. Odłożył lusterko i zerknął na obolałą rękę. Puchła w oczach, a ból w ramieniu usztywniał jak kij. Ruszył się. Miał wrażenie, że przetarano mu nogi, że pogruchocono kości.

Pochylił się, chciał dotknąć nóg. Jęknął znowu, zaciskając zęby. Był wściekły sam na siebie. Plecy paliły i bolały go, ale schylił się jeszcze bardziej. Dosięgnął nóg. Obmacał je starannie.

– Całe – westchnął z ulgą.

Teraz dotknął brzucha. Zabolało. Każde dotknięcie sprawiało ból.

– Nieźle musieli mnie skopać – pomyślał. –

Pewnie i żebra poszły?

Poczuł w piersiach bolesny ucisk. Położył się, oddychał płytko.

Kobieta, z prawdziwą troskliwością, wciśnęła mu pod kark zwiniętą, cuchnącą potem marynarkę. Usiadła obok i zajęła się nim jak dzieckiem. Maczała palec w garnku z wodą i przesuwała nim po jego ustach. To dawało mu ulgę. Nawet nie czuł obrzydzenia do jej obcych przecież, trochę nieświeżych rąk. Co rusz zwilżała w tej samej wodzie kawałek szmatki i przykładła mu do czoła.

– No, zaraz ci będzie lepiej – uśmiechała się co chwilę i mrugała oczami. – A wiesz ty, że ja mam takiego syna? No, może ciut starszy – rozgadała się, gładząc go po włosach. – I ciut niższy – zauważyła. – Ale syn – podkreśliła z dumą. – No – zawiesiła na chwilę głos – ...że-

by nie synowa, to ja bym dzisiaj z nim... ale, co tam... – machnęła ręką. – Syn, to syn. I tak go kocham.

– Pozwala, żebyś żyła tutaj? – Geminus powoli dochodził do siebie, chociaż czuł zalewające go gorąco.

– Pozwala? – zdziwiła się szczerze. – Sama to wybrałam. Tu można żyć jak gdzie indziej. Ani lepiej, ani gorzej. Z tych śmieci całkiem dobre dochody – zaznaczyła. – Zdarzy się znaleźć to i owo – zerknęła na starego, siedzącego w rogu przyczepy. – Dobrze mówię?

– Dobrze, tyle że za wiele. Uciszyć się, kobieto, jego to nie ima. Po co mu to?

Umilkła jakby zawstydzona, ale nie przestała się uśmiechać.

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

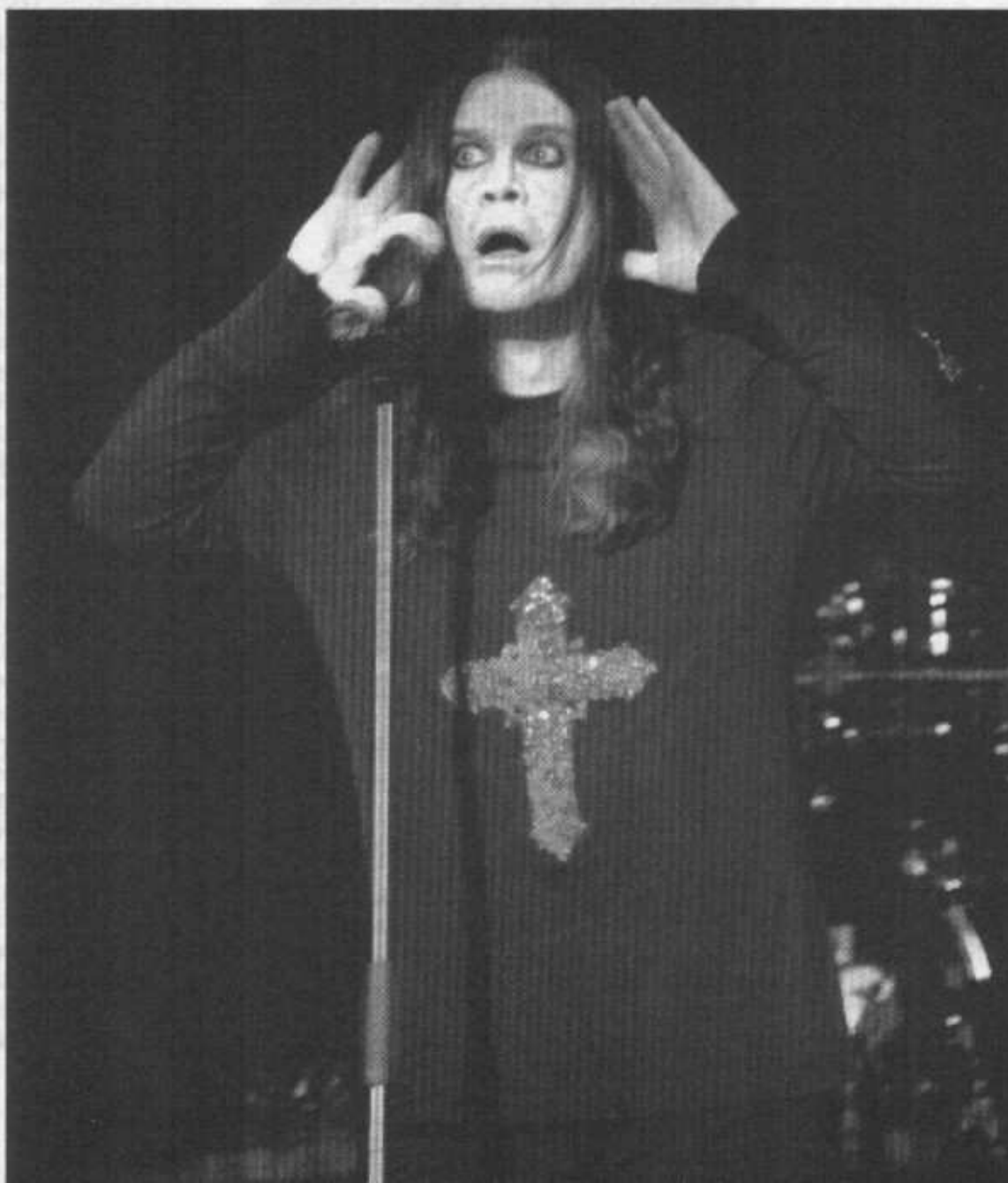


foto. Grzegorz Misiak „Orzy Osbourne”

W sieci internetowej karierę robią bezpłatne strony internetowe, tzw. „blogi”, prowadzone przez prywatne osoby w dowolny, niemal chałupniczy sposób. Przeważnie nabierają one charakteru intymnego pamiętnika, który na bieżąco komentują inni użytkownicy sieci. Jest możliwość dialogu. Ilość odwiedzeń na blogach jest duża i niektóre z nich stały się bardzo znane. Tak było w przypadku bloga Adali, wydanego w formie książkowej w ub. roku pt. „Świat według blondynki” (czytanej także na antenie radiowej). Blogów jest już kilkadziesiąt tysięcy, powstają także w Częstochowie. Co się pisze w blogach? Dokładnie wszystko. Ale czy to już literatura? Poniżej prezentujemy bloga Aleksandra Wiernego – fragmenty jego debiutanckiej książki „Matka Mojego Dziecka”, która ukazała się nakładem warszawskiego wydawnictwa „Nowy Świat”

(sb)



Matka się zmienia

O szóstej rano Przyszła Matka Mojego Dziecka patrzy w sufit. Dłonie spletała na piersi.

– Co teraz będzie? – budzi mnie jej pytanie.

– Jak to – co?

– Wszystko – rozkłada ręce szerokim gestem.

Albowiem pod jej stopami otworzyła się otchłań.

Od kilku tygodni każdą, najdrobniejszą nawet czynność, wykonuje jako Przyszła Matka. Jej myśli też są myślami Przyszłej Matki. Wchodząc po schodach jest Przyszłą Matką, uruchamiając samochód, pisząc do mnie maila, jedząc (zwłaszcza wtedy), pracując. Na razie nie jest

sobą, dopiero siebie szuka. Za kilka miesięcy ponownie się zmieni – w Matkę. I znowu każda, najdrobniejsza nawet czynność, myśl i uczucie będą nowe i świeże – inne.

Każdą, najdrobniejszą nawet nowość trzeba przedyskutować.

Po prawie czterech godzinach wrywam się do pracy, ale w drzwiach dogania mnie jeszcze jej głos:

– Wcale nie zrobiłam się marudna – mówi, – tylko bardziej rozmowna.

Matka bierze przykład z Manuei

Manuela Gretkowska stymuluje przestępczość wśród ciężarnych kobiet. Z „Polki” Przyszła Matka Mojego Dziecka dowiedziała się, że najwygodniejszym strojem do spania są dla niej męskie bokserki.

Przyszła Matka podchwyciła i kradnie. Zostały mi tylko slipy.

Chętnie oddałbym Manuei Gretkowskiej moje zakola i konieczność codziennego golenia się o poranku. Zastąpiła na to.

Matka uspokaja, ale bez skutku

Wyobraź sobie: połowa XIX wieku, Dziki Zachód. Masz na sobie zakurzony płaszcz, spod runda stetsona widać twoje zmrużone czujnie oczy. Jesteś sam. Na piersi błyszczy ci gwiazda szeryfa. Wchodzisz do knajpy pełnej koniokradów, muzyka cichnie, pianista chowa się w swoim instrumencie, dziwki w sukniach z falbanami rozsądnie zmykają do pokojów na górze. Wszyscy przewiercają cię wzrokiem. Czujesz się, jak Lucky Luke, który wpadł na rodzinny zjazd Daltonów.

Tak właśnie czuje się mężczyzna w poczekalni u ginekologa.

...jak Bill Gates na imprezie hackerów, jak Holyfield w tłumie Tysonów, jak Sokrates wśród sofistów, jak Wałęsa na plenum KC PZPR, jak policjant na więziennym spacerniaku, jak Świetlicki na koncercie Małęczuka, jak

nowy uczeń w klasie, jak puszka Coca-Coli w lodówce pełnej plastikowych butelek Pepsi, jak dziennikarz „Wyborczej” na wiecu skinów, jak Herbert w kalifornijskim domu Miłosza, jak kot w psiarni...

Przyszła Matka Mojego Dziecka próbowała uspokajać, ale pozostałe kobiety uparcie świdrowały mnie zdumionymi spojrzeniami. Nerwowo gestykulowałem dłońmi w okolicach twarzy, wierciłem się.

Potem ginekolog zbadał Przyszłą Matkę przy pomocy USG i pierwszy raz zobaczyłem dziecko.

– Jakies nerwowe – zauważyłem po chwili.

– Wyczuwa przenikające je promienie ultrasonografu – wyjaśnił lekarz. – Nie lubi tego. Dziecko machało rękami w okolicach twarzy i wierciło się niespokojnie.

Tak samo, jak ja w poczekalni.

TAK SAMO, JAK JA.

Matka i nieobecny

Przyszła Matka Mojego Dziecka stwarza anioły.

Najpierw musi pokonać codzienność. Wykonać czynności, które wykonać powinna. Wieczorem w skupieniu pochyla się nad szkłem i szybkimi ruchami pędzelka przywołuje do życia seksowne anioły w ciąży. Zanim się pojawią, na tafli widać odbicie jej twarzy.

Ja pracuję nad wizerunkiem kandydata na prezydenta, wymyślam strategię i taktykę kampanii. Jeszcze przez miesiąc będę w domu jedynie gościem. Po przeprowadzce nie miałem czasu, żeby pomalować wszystkie ściany. Codziennie dodaję mały kawałek, zanim zmęczony zwalę się na łóżko.

Przyszła Matka wie, gdzie bije jej źródło, już wie, kim jest. Ja tylko stwarzam pozory na potrzeby innych i nie radzę sobie z rzeczami najprostszymi.

Jednak Przyszła Matka powiesi obrazy dopiero wtedy, gdy skończę swoją część pracy. Dopiero wtedy powstanie całość.

Matka, król i demon

Przyszłą Matkę Mojego Dziecka dopadł nagle demon porządku i harmonii.

Kupiła duże słoje, ustawiła w równym rzędzie i napełniła cukrem, mąką, kaszą i innymi sypkimi produktami. Nakleiła na nie kartki z opisem. Maniakalnie sprząta. Tworzy z mebli

geometryczne wzory. Wiesza w szafie moje koszule według algorytmu, którego sensu nie potrafię dociec, ale którego nie wolno pod żadnym pozorem złamać. Ewidencjonuje komputerowo wszystkie wydatki, zwłaszcza moje – na papierosy i piwo. Pies może leżeć tylko pod stołem. Pilot od telewizora musi leżeć na stole pod określonym kątem w stosunku do ekranu. Mam siadać tylko po lewej stronie kanapy i nie palić.

Ciężko mi, bo jestem inkarnacją Króla Chaosu. Moje królestwo nie jest z jej świata. Zaczyna się za balkonowymi drzwiami, na wygnaniu. Tylko tutaj mogę zapalić, mam na balkonie swoją popielniczkę.

– Opróżniaj ją częściej – napomina Przyszła Matka. – Ktoś zobaczy, że nie wywiązałyśmy się ze swoich obowiązków.

Nie mogą to być sąsiedzi, bo mieszkamy na ostatnim piętrze.

Nad nami jest tylko niebo.

Matka i łóżko

Przyszła Matka Mojego Dziecka śni cudze sny.

Czyta książkę Borgesa, której na jawie nigdy nie miała w ręku. Czyta dokładnie, słowo po słowie, zdanie po zdaniu, akapit po akapicie, strona po stronie. Po przebudzeniu zapomina, jaka była treść książki, lecz kolejnej nocy wraca do lektury dokładnie w tym miejscu, w którym ją przerwała.

Wstawiłem do naszej sypialni łóżeczko małego. Wygląda trochę jak kieszonkowe więzienie, z tymi wszystkimi szczebelkami, które mają go chronić przed upadkiem. – W łóżku zaczynamy – powiedziała Przyszła Matka. – W nim się na ogół poczynamy i w nim zazwyczaj kończymy.

Jeśli mamy szczęście, uciekamy z więzienia egoizmu i śnią nam się sny innych.

Może je odczytamy, jeżeli starczy nam cierpliwości.

Aleksander Wierny

Częstochowianin, ma 29 lat. Absolwent filozofii (Uniwersytet Wrocławski). Były dziennikarz, dziś zajmuje się public relations w jednej ze Spółek Skarbu Państwa.

Częstochowa ma od lat silną tradycję poetycką. Turnieje i konfrontacje dotyczą tu zwykle liryki, której czasami wydaje mi się, że jest za dużo. Tym bardziej ucieszyły mnie czwartkowe spotkania prozatorskie w kawiarni „Dekadencja” (o 19.00 – wstęp wolny). Od września co tydzień spotykają się tam młodzi ludzie (licealiści i studenci), którzy czytają swoje opowiadania, dyskutują, pod okiem właścicielki i Eli Jeziorowskiej-Wróbel uczestniczą w warsztatach literackich. W tej formie wypowiedzi wyrażają oni swoją ekspresję i fascynację ulubionymi pisarzami. Z czasem teksty staną się dojrzałe i bardziej przemyślane, ale i tak mnie cieszy, że młodzież szuka trudniejszej drogi artystycznej, może mniej efektownej, mozolnej i pracochłonnej – bo tego wymaga proza. Dzieje się coś nowego, więc poniżej prezentujemy próbnie wybrane opowiadania „dekadentów” z Nowowiejskiego. (sb)

Rysio Szczęściarz

Grażyna Siedlecka

Był pewien człowiek, od którego odwróciło się szczęście. Nazywał się Rysio Szczęściarz. Nagle ni stąd, ni zowąd nawiedził go na dobre pech i nie miał zamiaru odejść. A było to tak.

Któregoś cudownego poranka Rysio Szczęściarz siedział jak zwykle przy swoim ulubionym stoliku w kawiarni i czytał gazetę. W pewnym momencie podniósł głowę i zdębiał. Wszystko wokół było czarno-białe! Kelnierka, którą znał już dobrych parę lat, zaczęła teraz uparcie twierdzić, że go nie zna i Rysio doznał jeszcze większego szoku.

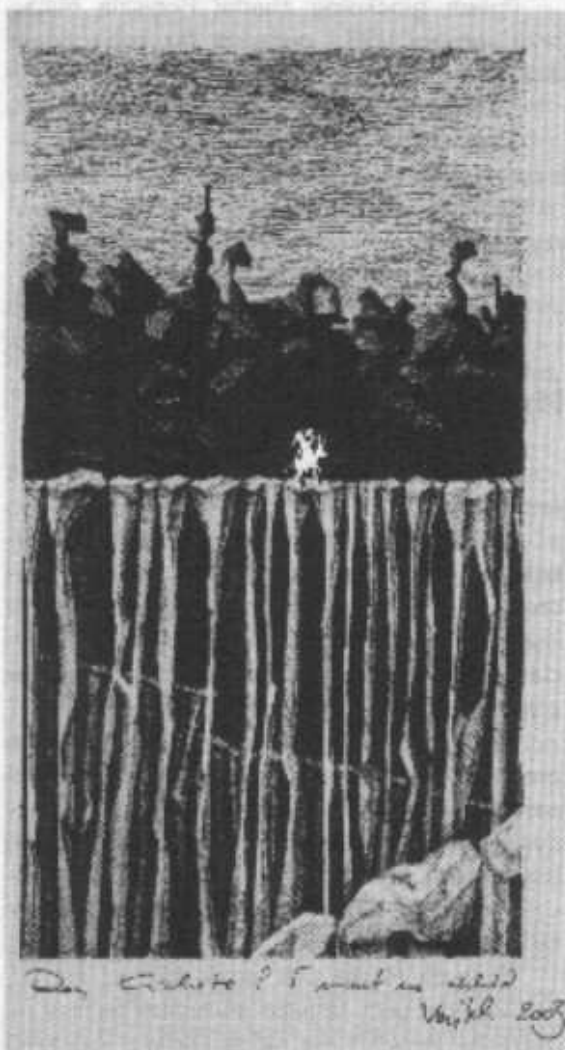
– Jak to, Kasiu. To ja przecież, Rysio Szczęściarz!

– Pan nie jest Rysio Szczęściarz! Przecież znam go dobrze, pan nim nie jest!

Rysio postanowił udowodnić szalonej kobiecie, kim jest naprawdę. Wyciągnął dowód, otworzył i spadł ze stołka. Na dokumencie, owszem, było jego imię, ale obok jego własnego zdjęcia napisane było nazwisko: „Pechowiec”. Rysio zrozumiał, że szczęście się od niego odwróciło.

Postanowił wyruszyć na poszukiwanie swego prawdziwego nazwiska. Poszedł w kierunku gwiazdy PKh78a45NeD. Szedł baaardzo długo, bo czterdzieści dni i nocy. Żywił się korzonkami i pił wodę z kałuż. Po drodze nie spotkał żadnej wsi ani żadnego człowieka. Był już wyczerpany. Czterdziestego dnia dotarł do celu podróży. Przed nim stała Góra Bogów. Wspiął się po jej zboczu na szczyt bez wielkich problemów, bo była niska. (Kiedyś była znacznie wyższa, ale pewien zły człowiek o imieniu Judasz w buncie przeciw bogom wysadził jej znaczną część w powietrze.)

Pierwszym bogiem, na którego natknął się Rysio, był Posejdon.



rys. Wojtek Kulesza „Don Kichote?”

– Jeśli chcesz odzyskać nazwisko, musisz zejść na dół i przynieść mi gołębicę, która tam czeka na ciebie – rzekł do Rysia.

Rysio zszedł więc na dół. Od razu zobaczył ptaka. Podszedł do niego ostrożnie, ale miał pecha: gołąb wystraszył się galopującego stada słoń i odleciał.

Rysio smutny wrócił na górę.

– Nie mam gołębia, Posejdonie – rzekł.

– Wiem. Trudno. Ja już nie mogę ci pomóc. Idź do innego boga.

Rysio zaczął szukać. Zaraz natknął się na Dzeusa.

– Najświętszy Dzeusie, chcę odzyskać moje zagubione nazwisko – zaskomlał.

– Idź na dół i przynieś mi owoc z tej wiśni, która rośnie o, tam.

Rysio zszedł więc na dół i podszedł do drzewa. Jednak miał pecha, bo właśnie takomy kos zjadł ostatnią wiśnię i chichotał kretyńsko widząc głupią minę Rysia.

Ten, smutny, wrócił znów na górę. Podszedł do króla bogów.

– Nie mam wiśni – powiedział.

– Wiem. Trudno. Ja już nie mogę ci pomóc. Idź do innego boga.

Rysio poszedł do Hermesa.

– Chcę odzyskać nazwisko – powiedział.

– Idź na dół i przynieś mi wody ze strumyczka. Proszę, oto dzban – dodał bóg podając podróżnikowi naczynie.

Ten zszedł na dół i nabrał wody. Zaczął wracać, ale miał pecha: potknął się o kamień i potłukł naczynie, a na domiar złego komar ugryzł go w lewe ucho. Zafamany wrócił na Górę Bogów.

– Nie mam wody – zakałł Hermesowi tak załośnię, że ów aż się skrzywił widząc takie „zbabienie” u faceta.

– Trudno – odpowiedział z obrzydzeniem. – Ja już nie mogę ci pomóc. Idź do innego boga.

W końcu do Rysia podeszła Afrodyta.

– Wiem czego chcesz – wyszeptala spronie. – Odzyskasz nazwisko jak się ze mną prześpisz.

– Dobrze – odparł Rysio.

Jednak miał pecha. Jego słabe serce nie wytrzymało widoku obnażonego ciała pięknej bogini. Umarł na zawał albo wylew. Kto go tam wie.

Morał z tej historii (opartej zresztą na faktach) jest prosty: szczęście nie trwa wiecznie, a gdy już odejdzie, nie szukaj go, bo i tak nie znajdziesz. Jak będzie chciało, samo przyjdzie.

Spójnik

Piotr Nita

Przysiadłem. Popijam. Siorbię. Czasowniki. Konkrety, bo podmioty domyślne. Zadzwonił. Wstałem. Otworzyłem. Weszła. Ucałowała. Przycupnęliśmy. Szeptaliśmy. Szeptala. Słuchałem. Wstałem. Kopnąłem. Zakląła. Rzeczowniki, zaimki. Bzdury. Szeptala rzeczownikami, klęła rzeczownikami.

Pomogłem. Wstała. Tłumaczyłem. Wyjaśniałem. Przemówiła. Pokręciła. Zepsuła. Przymiotniki, wykrzykniki, emocje. Trzasnąłem. Działaliśmy. Podsumowałem. Łkała. Zaimki osobowe, ja, ty, my. Rzeczowniki. Bełkot. Tłumaczę – „działam”. Historyzuje – „deklaruję”. Beczy. Trzęsie się. Bredzi – tryby przypuszczające. Profanuje.

Wściekam się. Uciałem. Skończyłem. Zamilkłem. Wyszedłem. Trzasnęły.

Mijał. Mijał. Patrzyłem. Były. Zachwalały. Naciągały. Oblegały. Naciskały. Się narzucały. Rzeczowniki. Przymiotniki. Struchlałem. Przymiotniki w stopniu najwyższym. Liczebniki. Zemdliło. Zamroczyło.

Wstałem. Były. Były. Trwały. Zachwalały.

Wróciłem. Zakluczyłem. Ległem. Przykryłem się. Zaimek zwrotny pomaga. Włączyłem. Pstrykałem. Zmieniałem. Pinkałem. Oglądałem. Były. W stopniu najwyższym przymiotniki. Zadzwoniłem. Odebrała. Odetchnąłem. Przyszła.

Milczała. Nie rozumiała. Została.

Przywarliśmy. Się muskaliśmy. Zlizaliśmy. Obcałowała. Ocierała się. Działala.

Zrozumiała? Pogodziłem się. Przyjąłem. Objąłem. Konkrety. Czasownik byliśmy. Zaimki ona i ja. Spójnik nobilitował. Uszczęśliwiał.



rys. Wojtek Kulesza „Sancho”

SKANDALISTA

MARCIN FLYNT

Przeglądając wrześniowy numer „Hustlera” (magazyn erotyczny, któremu kilka lat temu poświęcono film „Skandalista Larry Flynt”), pośród kolorowych zdjęć układów damsko-męskich i różnych innych, natknąłem się na zabawny artykuł poświęcony Częstochowie pt. „Duchowa stolica”. Zabawny o tyle, że autor, Marcin P., z przekąsem i w bardzo krzywym zwierciadle opisuje nasze miasto. W wielu momentach prawdopodobnie ma rację, a w wielu przesadza. Można się oburzyć i wspomnieć o ptaku, co swoje gniazdo kała, lecz charakter tekstu tłumaczy zamierzona skandaliczność, brukanie rzekomej świętości grodu, a także „eksportowość”, założenie, że nie przeczyta go nikt z Częstochowy, tylko mieszkańcy innych miast. Jest to korespondencja pasująca poziomem jak ułaf do „NIE” Urbana. Mógłbym właściwie o niej zapomnieć, lecz padły w niej następujące słowa dotyczące częstochowskiej literatury (bo tylko ją autor uważa za sztukę):

„(...)W duchowej stolicy brakuje nie tylko profesorów, ale i zwykłych intelektualistów, pisarzy - „inżynierów dusz”. Debiutancki tomik wierszy satyrycznych wydał tu co prawda Tadeusz Różewicz, który jednak się z tym nie afiszuje. Debiutowała w Częstochowie urodzona tutaj Helena Myga (znana szerzej jako Halina Poświatowska), ale szybko wyjechała do Krakowa. Kto może, ten wyjeżdża i się pochodzeniem z Częstochowy nie przechwala. Jedyni naprawdę znani autorzy tekstów, którzy są stąd i się z tym nie kryją, to Olek Klepacz z FNS i Muniak Staszczak z T. Love.(...)”

Dosyć ostra to diagnoza i bolesna, bo emigracja jest zauważalna gołym okiem, zwłaszcza kiedy podczas wyjazdów z Częstochowy spotykam znajomych w Warszawie, Krakowie czy Katowicach. Jednak czynnych twórców parających się piórem jeszcze trochę w Częstochowie zostało i niekiedy dają o sobie znać. Nie jest to mocne środowisko i może niezbyt wybitne, ale jest i basta. Sam autor „paszkwila” też do niego należy, chociaż się przy każdej okazji wypiera. Środowisko literackie zawsze trudniej jest zauważyć, bo nie daje koncertów, nie wystawia w galeriach, spotyka się w wąskim gronie w kameralnych salach i kawiarniach oraz

koncentruje się na słowie pisanim, dyskusji i wymianie idei. Ta mała widowiskowość może postronnego gapia przyzwyczajonego do sensacji, huku i wygłupu po prostu nudzić.

A gdyby tak zebrać tych wszystkich rozproszonych pismaków z regionu w jednym miejscu, np. w centrum miasta w wynajętej starej kamienicy przeznaczonej do rozbiórki, dobrze ją oznakować tablicą z napisem „TRUST LITERACKI”, wyznaczyć godziny „odwiedzin” dla petentów z miasta – to byłoby oni lepiej rozpoznawani i kojarzeni w społecznej świadomości? Każdy z zebranych musiałby nosić koszulkę z napisem „PROZAİK”, „POETA”, „DRAMATURG”, „BIOGRAF” itp. Dla chętnych i ciekawskich można by urządzić dwutygodniowy kurs środowiskowy, który zaczynałby się od pisania ołówkiem na pudełku zapatek albo od rycia kamieniem w murze, następnie adepci stukaliby na starych nienaoliwionych maszynach do pisania, a na zakończenie uczyliby się drukować swoje wypociny na chałupniczym powielaczu. W dniu zakończenia kursu musieliby oczywiście spalić wszystko, co przez ten czas stworzyli lub w przypiływie faski zjeść. Budynek powinien działać jako połączenie skansenu, squatu, domu wariatów i ośrodka szkoleniowego, z rur wentylacyjnych sączyłby się gaz rozweselający. Zainstalowane kamery filmowałyby przez całą dobę akcję rozgrywaną się w pomieszczeniach. Pokazywano by to później w lokalnej TV jako reality show (główne źródło utrzymania). Wiem, że to wszystko utopia, bo miejscowi pisarze nigdy by się nie zgodzili przebywać razem (dochodziłoby do gorszących soen) ani odrzeć z prywatności. Jednak skorzystałoby medialnie – byłoby znani jako duża, silna grupa jednej profesji i wspólnych zainteresowań. Mieliby też ze sobą bliski kontakt. W tej małej Częstochowie mogą się nie widzieć miesiącami, zapominają o sobie, a w końcu wydaje im się, że już nikogo nie ma, zaś im samym przypadł los eremity albo ostatniego ze sprawiedliwych. Literaci tymczasem siedzą jak świerszcze za kominem i wygrywają na papierze stronicie poematów i opowiadań. Ciężko będzie im zostać idolami. Chyba, że złączą pisać do „Hustlera”...

S. Burszewski



fot. G. Misiak



rys. Arkadiusz Zajac „Książę Kruk (inspirowane Macbethem)” 2003, tech. mieszana

Właściwie o co mi chodzi? Często spieram się z kimś, kłócę, wyleci mi z ust nieładne słowo – rzadko, ale jednak. Ja, który w większym stopniu powinienem panować nad zawieruchą słów. Wiem (to banal), że moje „ja”, moje życie, to ułamek sekundy w stosunku do wieczności, która przeskakuje pokolenia i wbiega w mgłę następnej wieczności. Co ja plotę, to jedna miliardowa sekundyl i moje „ja” – tyle ważne, co pyłek lecący z wiatrem w niewiadome. Z drugiej strony czuję w sobie to, co nazywamy sumieniem, czyli wydaje się, że rozpoznaje granicę między dobrem a złem. Jednakże między tymi wartościami nie widzę wyraźnej krechy. Granica meandruje jak Linia Curzona i tworzy duże obszary tzw. szarej strefy, gdzie zagnieździł się moralny relatywizm. Tam można odpocząć, odstawić na bok pancierz rygoryzmu. Tego nie robił nigdy doktor Rieux z „Dżumy” Camusa. Ale ja nie jestem fikcyjną postacią. I przebywam nieraz w moralnej sferze szarości.

Największy bunt przeciw światu i społeczeństwu przeżywałem w siedemnastym roku życia. Zarazem, pamiętam, mówiłem do siebie: „Te dwanaście miesięcy, to najpiękniejszy twój czas”. I zapamiętałem do teraz. Siedemnaście lat. Pełna niezależność i swoboda (brak żony, dzieci i... pracy). Ze względów obiektywnych także nie chodziłem do szkoły. Pożerałem za to książki z filozofii. Na zewnątrz byłem opasany, taktowny. Rebelia gorzała we mnie. Drwiłem, szydziłem z ludzi, uważając wszystkich za błaznów nie umiejących lub nie chcących się wyzwolić z więzów tradycji, form współżycia, bon tonu, konwenansów. Byłem ponad nimi, ja – najwięcej rozumiejący. Ale nie było w tym tylko zarozumiałości i naiwnej pychy nastolatka. Poza buntem kręciły się we mnie wiatraki mistycyzmu. Słyszałem anielskie śpiewy, rozmawiałem z Anhelim. W dzień później z wypiekami na policzkach czytałem u Fryderyka Nietschego, że Bóg umarł, u Renana zaś Jezus staje się tylko człowiekiem, odartym z atrybutów boskości... Do tego hipertrofia wszystkich zmysłów. Szczególnie intensywniał kolor jak w narkotycznych halucynacjach. Liście drzew w łódzkim parku (zwłaszcza jesienią) przybierały bajkową i po trzykroć głęboką tonację. Zdumiewały, rozszerzały oczy. Każdy dźwięk zamieniał się w akord Beethovena, ptasi śpiew w którąś symfonię Czajkowskiego. Dotyk kory, kamienia paraliżował palce. Dzisiaj tłumacząc ów rozblysk zmysłów przedłużonym okresem dojrzewania. Najwięcej nieszczęść

przynosiły mi kobiety, ich ponętne, czarowne kształty, zwłaszcza wiosną, gdy zrzucały grube okrycie. Wtedy ciśnienie krwi w żyłach przekraczało dopuszczoną normę. Lecz na zewnątrz spoko – jak skraca dziś przysłówki młodzież. Słodka męka, pożądanie odkrycia tajemnicy przeciwnej płci trwało jeszcze trzy lata. Dlaczego tak długo...? Inne obyczaje, a zwłaszcza wrodzona nieśmiałość. Bałem się wypowiedzieć zakłęcie, by otworzyć jaworowe wrota. Chyba każdy człowiek bywa rozdwojony. Wierzy w naukową egzegezę zjawisk, lecz jednocześnie jego świadomość (a raczej podświadomość) nosi w sobie spory ładunek magiczności. Do współczesnych wróżek przychodzą także profesorowie uniwersytecy, technokraci, biznesmeni. Pod tym względem nasza natura niewiele zmieniła się od zamierzchłych czasów, mieszcząc w sobie racjonalizm i magiczne wierzenia, odziedziczone po zwierzęcych przodkach, jak instynkt, intuicja, może nawet prorocze sny. W siedemnastym roku życia doświadczyłem najostrej tych antynomii.

Dobry obraz powinien pokazywać rzeczywistość, ale z profilu lub zupełnie od tyłu: to tak, jakby księżyc odwrócił się do nas nieoświetloną stroną i zaczął odbijać światło innej gwiazdy niż słońce. Wszyscy wielcy malarze tak malowali, np. Rembrandt, Dürer, Goya.

Nie posiadam nic, a tyle mam do stracenia!

U J. Tyle książek! Stosy, wśród których na pewno wybrałbym coś dla siebie. Rozmawiamy. Do czasu. Dwóch robotników zaczyna wyłamywać drzwi, bo się dokładnie nie zamykają. Żegnaj się, umykam na przystanek. Długie czekanie. Naprzeciw napis: Hurtownia. Ludzie wychodzą z dużymi głowami kalafiorów. Coś szepczą. Każdy taki szepc pociąga, ale nic nie słyszę wyraźnia. Pojawia się młodzieńca para. Ona podaje chłopakowi jabłko do ust. Potem sama gryzie i znów jemu. Widać rajski owoc zadziałał na hormony, caują się namiętnie, prawie się gryzą – jak przedtem czynili to z owocem. Nędzny, mały psiak ukosem przebiega przez ulicę. Widać, że na życiu już mu nie zależy. Furgonetka nie starała się nawet zahamować. Odwracam głowę. To też śmierć. W autobusie kontrola. Mnie nikt o bilet nie pyta. Przecież czapkę mam na głowie, a laski nie widać! Dla sprawdzających jestem powietrzem. Szkoda. Na Deglera dwóch bijących się. Końca bójki nie zobaczyłem. Przede mną siedzi mężczyzna w średnim wieku z pięknym bukietem

kwiatów. W eleganckim garniturze, krawacie, flauszowym płaszczu. Biały szalik, Irchowe złote rękawiczki. „Do żony, czy kochanki?” – myślę. Wysiada na ulicy Fieldorfa, przy omentarzu.

Znów dzieciństwo na bocianich nogach. Pierwszy mój teatr ogromny. Przestrzenny przede wszystkim. Piszczacz na Podlasiu. Starsza siostra prowadzi mnie za rękę. Obszerna łąka. Gromada gapiów przed kilkoma białymi prześcieradłami zawieszonymi na sznurze między dwoma drzewami. Oni dopiero się przygotowują. Właściwie nie wiem, co to są „oni” i co tu robią. Jeden z nich w kolorowym stroju ma całą twarz w pianie, zaczyna się golić. Inny siedzi na stole, wolno macha nogami w białych pończochach i ogląda jakieś papiery (pewnie czytał, powtarzał tekst, kwestie). Jeszcze inny bosy i do połowy nagi pędzi w moją stronę, koziółkuje w biegu, stając na nogach albo rękach. Kilkuletnia dziewczynka w czerwonym kostiumie goni psa wołając: „Strój Ogon”! Zza białego nietoperza wynoszą długie, drewniane ławy. Siadamy, siadają inni, krzyczą dzieci. Za prześcieradłami błyska, w obniżonym już słońcu, wieża kościelna. Czekaliśmy bardzo długo. Wiaterek podnosił prześcieradła. Co dalej? Nie wiem. Ciemno. Pamięć jest jak labirynt. Czofgasz się, zbaczasz, często docierasz do ślepej ściany. W tym obrazie zastonięte zostało właśnie to, co najważniejsze. To tak, jakbyśmy w „Upadku Iłkara” zastanili orzącego wieśniaka. Jest ledwo widoczny, ale z punktu widzenia ideologii malarza to komponent najistotniejszy.

Miałem dziwny sen. Ojczyzniany. Otóż trzy państwka Beneluxu napadły z powietrza (bo to nie sąsiedzi) na nasz kraj. Niestety, zwyciężyły i zaczęły wprowadzać w Polsce swoje porządki. Natychmiast powstał podziemny Patriotyczny Ruch Oporu oraz Odnowy Moralnej dążący do odzyskania niepodległości. Nie walczyliśmy bronią lecz sprytem, czyli kradzieżą. Kradliśmy najpierw amunicję, karabiny, potem czofgi, samoloty, helikoptery oraz wszelki sprzęt wojskowy, nie wyłączając zofdu w euro. Po roku Benelukseburczycy z niewielkimi stratami w ludziach (dwóch żołnierzy rannych poniżej pasa), na koszt Organizacji Narodów Zjednoczonych opuścili nasz kraj. Śmiesznie wyglądali w koronkowej bieliźnie. Nastąpiły znowu dobre, wolnościowe czasy. Zorganizowała się władza (demokratyczna), ukonstytuował się Sejm. Obudziłem się w momencie, gdy jako poseł tarosiłem się za tby z ideologicznymi przeciwnikami.

DIONIZOS I WSPOMNIENIE

*Profesorowi Janowi Sadowskiemu,
mojemu nauczycielowi greki*

Zielony owoc Dionizosa aż do krwi utraty
Chłonać. Propozycja pierwsza. Noc goi
Spojrzenie oczu. Widzieć i nie widzieć,
Przebywać w klocekarni, polerować kanty.
Leniwie będzie płynąć krew jak most
Na rzece. Spóźniony jestem tej wiosny jak nigdy,
Cofnięty w gniazdo zimy, skulony jak embrion
W szeszcianie ciała. Parują drzewa,
Pszczoły, nie bacząc na traktat Spinozy,
Zadają kwiatom lekcję rodzenia. Dwa razy
Do tej samej rzeki – Tak umiera prawda. Poezja
Nie mieszka w gołębniku, ciężka jest jak rodzący
Kamień. Znam nieprawdę wzruszeń,
Co idą teraz przez białą samotność
Kartki papieru, nad którą się trudzę
Przywoływaniem innej wiosny. Szliśmy
w dojrzałych Owocach.

Sztylet błękitu stępniał w południe.
Ptak na wierzchołku otwierał list lotu. Obcej
Uczyłeś mowy. Dionizos był drzewem, ogrodnikiem
Spinoza. Mózg stał się miękki jak serce.
Na co bowiem pozwala ten sezon zbyt krótki
Poza próbą łączenia tego, co rozłączne. Poezja
Łączy rzeczy, jaka się nie stała.
Oto wychodzą z otwartego cienia
Ostre profile przyjadół. Alfred w szwedzkim stroju
Całuje klingę szpady na scenie, którą mu spod nóg
Zdmuchnie dmuchawiec czasu. Henryko,
Duński książe, pragnął w Elsynorze
Zobaczyć ducha ojca, którego żandarmi
Zepchnęli w paszcze psów. I Elżbieta
Zwana Atropos przez nas, prawie dzieci.
Torturowana w śledztwie nie wydała nic,
Zginęła jak wiosenny, wcześniej spadły liść.

To nie album rodzinny, profesorze greki,
To płynny meteor czasu. To urodzaj cienia.
I Twoje heksametry, nieporadny Psorze,
Pochtonął czas bez celu – jak bez żagli morze.

Tadeusz Gierzyński

TAM, GDZIE RECHOTAŁY ŻABY

„A wieczorem do naszego domu ze wszystkich stron dochodziło rechotanie żab. Późną wiosną. Rechotanie żab i gwiazdy na granatowej karuzeli nieba. Cóż może być piękniejszego? Nic, błękitny delfinie!”

Tak wspomina swój czas Tadeusz Gierymski (Aleje 3 nr 40/2002). I ja spędziłam dzieciństwo w rechocie żab. Dochodził od strony rzeczki, zagubionej w aniołowskich łąkach, odnogi Warty. Wieczorami żaby szukały ludzkiego towarzystwa, miały nas blisko. Kilkanaście skoków i już są na

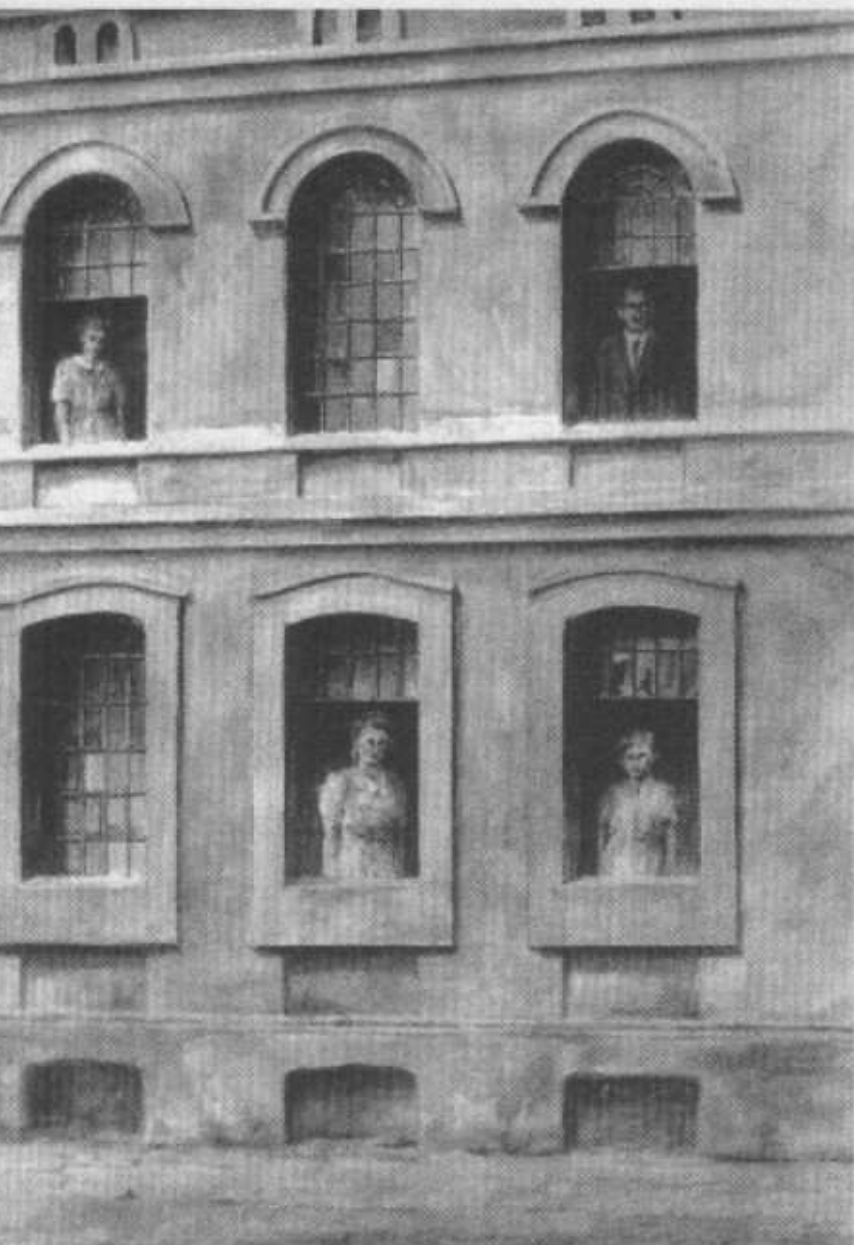
podwórkach domostw. Coraz to żabsko wchodziło do obórki koziej, albo do naszego buta. Wśród tych żab, wśród zieloności łąk, w pomruku samolotów i rozbłysków „katuszy” przeżyliśmy czas wojny. W tułaczce po wysiedleniu znaleźliśmy tu opuszczony domek z ogródkiem. Właściciele wywiezieni na roboty do Niemiec. Kilka uliczek wzdłuż i wszerz. I piękna nazwa – ANIOŁÓW, nazwana przez mieszkańców Grajdołkiem. Uliczki utaplane w błocie, przeważnie dwuizbowe domki z kamienia z warzywnymi ogródkami. Sąsiedzi znają się od pokoleń. Dzieciarnia tworzy zżyta, przyjazną ferajnę.

Za zabudowaniami ostatniej uliczki rozciągają się łąki, Aniołowskie łąki pełne wysokich traw, pełnych kwiatów, szczawiu... Przecina je senna rzeczka o brzegach porośniętych krzakami. Woda stoi w miejscu, nic nie szkodzi że mętna, wieczorami dajemy nurka, pluskamy się do zmierzchu. Aniołowskie łąki to obszar między piękną, romantyczną, naniesioną przez lodowiec czwartorzędową Skafą, Aniołowem a Wyczerpami Dolnymi. Z łąk widać Wapienniki i Złotą Górę. Nęciła nas ta Złota Góra, bo a nuż coś się tam da wykopać? Ale bliżej była Skafa. Wdrapywaliśmy się na jej zbocza, chwytałyśmy gałęzie, bujaliśmy się nad miniprzepaścią. Najbardziej tajemnicza była wieczorem. Podobno w jej czeluściach żyły małpy i tylko nocą ukazywały się niektórym mieszkańcom. Nawet do pobliskiego kowala zaglądały przez okno. Czatowaliśmy na te małpy; a może kiedyś któreś z nas zobaczy żywą małpę, a nie tę z elementarza. Żywą – takiej nikt jeszcze nie widział. Pociągało nas dość złowieszczo wyglądające wejście do grotty skalnej. Szare skały, wielka dziura, a dalej... nie wiadomo co. Co śmielsi próbowali spenetrować wnętrze, szybko jednak zawracali, bo a nuż coś cię wciągnie? Chodziły słuchy, że podziemne tunele wiodą aż do Jasnej Góry.

W latach 50. na Skale stanął kościół pod wezwaniem Opatrzności Bożej. Kościół „Na Kamieniu” ma swoją piękną historię. Budowali go duchowni z wielką pomocą mieszkańców Aniołowa, Kamienia i Wyczerp. Dziś pięknie uporządkowany teren nawiązuje do geologicznej przeszłości ziemi częstochowskiej. Wielka w tym zasługa obecnego proboszcza, wikariusza i parafian.

W przykościelnym ogrodzie na wysokim drzewie para bocianów uwija sobie gniazdo. Wyczekiwaliśmy ich przylotu, podglądaliśmy jak zbierają na łąkach żabki i karmią swoje małe.

Łąki aniołowskie to ciągle żywe wspomnienia. Tu przeżyliśmy lata okupacji hitlerowskiej, tu paśliśmy nasze kozy-żywicielki, szyliśmy szma-



ul. Garibaldiego, gwasz, kredki 2002

Barbara Szyk

ciane lalki, wieczorem rozpalaliśmy ogniska, piekliśmy wyszabrowane z poletka pani Zaleskiej kartofelki i marchewkę. To było pychał Graliśmy w kamyki, fikaliśmy koziołki, dziewczyny plotły wianki z kwiatów. Wieczorami kryliśmy się w krzakach nad rzeczką. To było nasze przed-szkole, nasza szkoła – szkoła dzieci wojny.

Najweselej było w niedziele. Zjeżdżali „miastowi” z Częstochowy, z koszykami jedzenia pachnącego bigosem i grochówką. Przyjeżdżali rowerami, motocyklami, rozciągali kocy, dzieciarnia pędziła do wody. Rozbrzmiewały melodie wygrywane na harmonii lub na grzebieniu. Słychać było: „Przybyli ulani pod okienko”, „Rozkwitały pęki białych róż”... Tańczono, romansowano. Zapominało się o wojnie, choć ta powracała nazajutrz. Tutaj pary wyznaczały sobie randki, ustalono, u kogo w przyszłą sobotę będzie potańcówka...

W marcu, zawsze na Józefa, ku uciesze dzia-twy rzeczka wylewała i nie trzeba było iść do szkoły. Wyciągano z piwnic balie i za pomocą dwóch kijów wiosłował sąsiad do sąsiada. Frajda dla dzieci, dla rodziców nieszczęście: znowu zalane piwnice, znowu tyle kartofli zgniło. Ale w maju znowu było pięknie, zielono, pachnąco, świeżo, zdrowo.

Nle mogę pominąć we wspomnieniach małego domku otoczonego przepastnym ogrodem pełnym kwiatów, warzyw i owoców. To domek państwa Kapitańskich i Kozłowskich. Tutaj miałam przyjaciółkę od serca. Pod zbutwiałym, starym płotem, wieczorami, w altance pokrytej bluszczem gadałyśmy z Marysią, wspólnie czytałyśmy książki. Ileż piosenek mi wyśpiewała... Jak to w życiu bywa, rozstałyśmy się z Marysią – na zawsze...

Tak było pół wieku temu. Zdawało się, że łąki na wieki pozostaną enklawą pięknej, bujnej zieleni. Niestety, zostały przecięte z jednej strony szerokim, hałaśliwym pasem trasy katowicko-warszawskiej, a z drugiej rozbudowującym się Aniołowem i Wyczerpami. Rozorane, przekopane, pokiereszowane. Tam gdzie rozciągał się złoty łan zboża, gdzie pachniały kwiaty w ogrodach pana Jastrzębskiego, gdzie pan hwańczyk wybierał miód ze swoich kilkunastu uli – stoi Castorama i McDonald. Idąc do szkoły przystawaliśmy przy starym gospodarstwie, aby posłuchać ile razy zakuka kukułka. Nieco dalej był sad owocowy, napełnialiśmy tornistry rajskimi jabłuszkami, zrywaliśmy dziko rosnące maliny i porzeczki. Tam teraz stoi TESCO, supermarket z placem pełnym aut, wózków, autobusów, rącząc hałasem i spaliniami. Jakże trudno zaakceptować takie zmiany.

Z przeciwnej strony nowe osiedla na Wyczerpach wbijają się w nizinny teren „naszych” łąk, po których hasały kózki, a w gąszczach nad-rzecznych krzaków gnieździły się dzikie kaczki. Tędy wiodła ścieżynka na wrześnieowe grzybobra-nie do jaskrowskich lasów. Tędy nasze mamy tasz-

czyły na rowerach worki smakowitych gruszek.

Romantyczna Skafa, rozpalająca naszą dzie-cięcą wyobraźnię też jakoś skurczyła się, zmala-ła, porośla trawą i drzewami tak, że w lecie pra-wie jej nie widać. Pędzą obok niej wyładowane TIR-y, mercedesy, fiaciki. Ruch, huk, pęd, kurz... Nikt też już w mały nie wierzy. Umarł pan kowal, ale komuż miałby teraz podbijać podkowy? Od lat nie pojawiły się bocki. Czym się wyżywić, kie-dy nie ma żab?

Rozkładałam dzisiejszy plan Częstochowy, wi-dzę jak nikną ostatnie zielone zakątki. Nowobo-gackie pałacyki, hipermarkety przedzierają się w nową epokę, jakże często niszcząc to, co ma-łe, zdrowe, piękne!

Sabina Chróstowska



ul. Katedralna 8, gwasz, kredka, tusz 2002

Barbara Szyk

„Wujaszek Wania”

na scenie częstochowskiego teatru

Tegoroczne Międzynarodowe Święto Teatru, przypadające jak zwykle na dzień 27 marca, scena częstochowska uświetniła znanym dramatem Antoniego Czechowa pt. „Wujaszek Wania”.

Po serii przedstawień pod publiczność: fars typu „May day” czy kiczowatych, acz śmiesznych „Dwóch morgach utrapienia”, zobaczyliśmy znów w naszym mieście przedstawienie naprawdę świetne, znakomicie wystawione, bardzo teatralne i artystyczne w najlepszym wydaniu. Ośmielę się nawet powiedzieć, iż na

przestrzeni ostatnich lat nie było u nas wydarzenia teatralnego tej miary, co prezentowany właśnie „Wujaszek Wania”, a wiem, co mówię, bo przecież nie od dziś śledzę z uwagą wszystko, co się dzieje na częstochowskiej scenie.

Stary, rosyjski dramat o ludzkich pragnieniach i namiętnościach, znakomicie tym razem przysposobił do współczesności reżyser spektaklu, pan Bogusław Semotiuk, znany już w Częstochowie choćby z niedawnej realizacji sztuki Bogusława Schaeffera pt. „Scenariusz dla trzech aktorów”.

Jego „Wujaszek Wania” utrzymany został w rygorach literackiego pierwowzoru, z ową piękną rosyjską nostalgią tak charakterystyczną dla twórczości dramatycznej Czechowa. To dobrze, bo nie ma w przedstawieniu żadnych modnych obecnie teatralnych uduziwień, ani nowatorskich pomysłów, zmieniających sens i barwę tego dramatu. Ma za to ten „Wujaszek” zapach starego domu, klimat samowarów i niegdysiejszych mebli, ciepło świec pod ikonami i rzadkie już teraz oczarowanie prawdziwym teatrem. Od początku czuje się inność tego przedstawienia. Scena rozjaśnia się powoli, bohaterowie stoją lub siedzą w bezruchu, pogrążeni w wieczornej nudzie, być może na coś czekają? Z wolna zaczyna przenikać nas klimat przedstawienia. Scena bowiem ma kolor sepli, jak dawna fotografia, a na dodatek nostalgiczne, płynące jakby gdzieś zza okna albo z naszej wyobraźni, dźwięki wiolonczeli (gra koncertmistrz częstochowskiej filharmonii, pan Serhii Rysanov, którego postać „wydobywa” w stosownych chwilach światło reflektora).

Częstochowska inscenizacja „Wujaszka Wani” podejmuje kwestie obecne w wielkiej rosyjskiej klasyce: wiejska nuda, beczynność i bezmyślność rosyjskiego ziemiaństwa, jego niezrealizowane ambicje, bezsens życia, przemijanie, ale Semotiuk osiłą swojej inscenizacji uczynił platoniczną, niespełnioną, przegraną miłość niosącą cierpienia i rozczarowania. Wszyscy są tu zakochani w niewłaściwych osobach. Wujaszek Wania (Andrzej Iwiński) co chwila wyznaje uczucie pięknej Helenie, młodej żonie profesora Sieriebriakowa (Agata Ochota-Hutyra), w której z kolei kocha się dok-

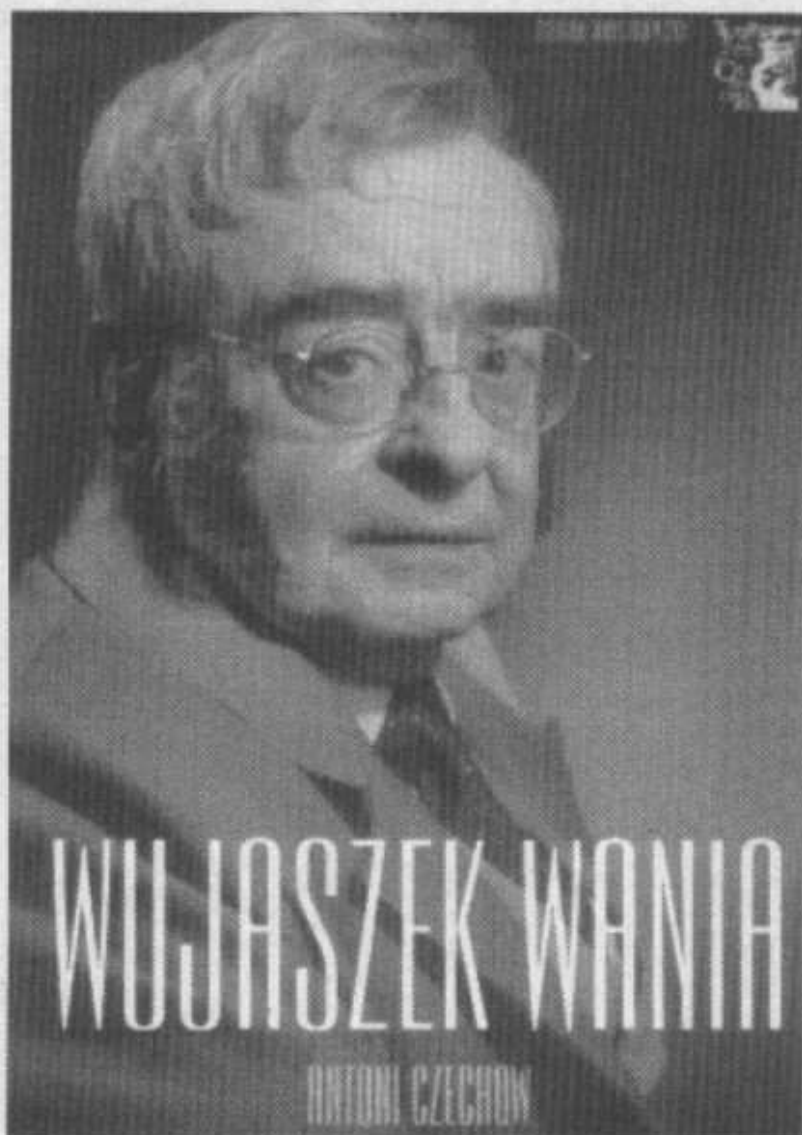


foto. Piotr Dłubak

tor Michał Astrow (znakomity Marek Ślosarski). Za Astrowem zaś wyplakuje oczy młodzianka Sonia, córka profesora z pierwszego małżeństwa, (Paula Kwietniewska). Wujaszek Wania przytapia swą ukochaną Helenę w objęciach zapijaczanego doktora Astrowa. Z zazdrości strzela jednak z rewolweru nie do konkurenta, ale do starego profesora Sieriebriakowa, w nim bowiem upatrując powód swojego miłosego nieszczęścia. Strzał okazuje się chyłny. Sieriebriakowowie wyjeżdżają do miasta, dom Wujaszka Wani na powrót pograża się w apatii, w codziennej, pozbawionej perspektyw, monotonii.

Reżyser dokonał skrótów w teksie sztuki, co wyszło przedstawieniu na korzyść. Rzecz jest bardziej zwarta i trwa tylko niespełna dwie godziny. Trzeba jednak przyznać, że manewrów w sposób znaczący zmienił wizerunki kilku postaci scenicznych. Astrow na przykład, któremu wykreślono wszystkie kwestie związane z jego działalnością lekarza społecznika leczącego za darmo miejscową biedotę, przedstawiony został przez Semotiuka jedynie jako kłobacz i miłośnik alkoholu. Tymczasem jego zgorzknienie inny przecież, bardziej ludzki, ma podkład. Podobnie jest z Heleną, żoną emerytowanego profesora. To nie tylko jej uroda była powodem, że kochali się w niej wszyscy mężczyźni tego domu i nie tylko uroda była powodem ich dramatu. Wszak Helena to symbol innego świata, innego życia, które nagle zjawilo się w wiejskim domu. W częstochowskim przedstawieniu kwestię tę pominięto.

Nie zmienia to oczywiście faktu, że przedstawienie w całości jest znakomite. Sztuka w dodatku ma gwiazdorską wręcz obsadę. Bo to i sam mistrz Marek Perepeczko, który nie tylko posturą wypełnia scenę (profesor Sieriebriakow) i Czesława Mączka (Maria Wojnicka), i niania Maryna (Cecylia Puto), i Agata Ochota-Hutyra. To przecież artyści najwyższej klasy. Wśród nich jest też znakomity jak zawsze Marek Ślosarski w roli dr Astrowa i młodzianka Paula Kwietniewska. Jej Sonia jest kreacją wybijającą się w tym przedstawieniu. Łagodna, dziewczęca, a jednocześnie dojrzała już uczuciowo dziewczyna. Ona jedyna w tym towarzystwie wierzy w przyszłość. Wierzy, że jej ukochany doktor Astrow na przyszły rok przyjedzie znowu. Więc będzie czekać. Może wtedy spełni się jej miłość.

I na koniec kilka słów o Andrzeju Iwińskim, odtwórcy roli Wujaszka Wani

Otóż powszechnie postrzegany jako aktor

wybitnie komediowy, sam zresztą taki swój wizerunek kreował w licznych, nie tylko teatralnych, przedsięwzięciach. Tym razem wzruszył nas jednak rolą dramatyczną, świetnie zagrana, bardzo ludzką, prawdziwą w każdym słowie i w każdym geście. Tylko wielcy aktorzy potrafią stworzyć taką ciszę na sali, to przyjazne współgranie serc, kiedy Wujaszek Wania, mówi o swojej miłości do pięknej Heleny.

Po okresie pewnej stagnacji mamy znowu na naszej scenie świetne przedstawienie. Warto je zobaczyć, choćby dlatego, żeby przypomnieć sobie, jak piękną krainą jest teatr. Tutaj wszystko ma inny wymiar i inny smak. Zwłaszcza kiedy w antrakcie spektaklu Dyrekcja Teatru częstuje swoich widzów rosyjską herbata z samowara i konfiturami.

Szkoda, że tak późno zrodził się pomysł sceny interaktywnej. W „Dwóch morgach utraconia” bowiem grochówkę jedzą tylko aktorzy na scenie. Widzowie zaś muszą zadowolić się jedynie zapachami.

Andrzej Kalinin

Antoni Czechow WUJASZEK WANIA

Przekład: Jarosław Iwaszkiewicz

Reżyseria i scenografia: Bogusław Semotiuk

Obsada:

Aleksander Sieriebriakow – Marek Perepeczko

Helena Andrejewna – Agata Ochota-Hutyra

Sonia – Paula Kwietniewska

Maria Wojnicka – Czesława Mączka

Iwan Wojnicki – Andrzej Iwiński

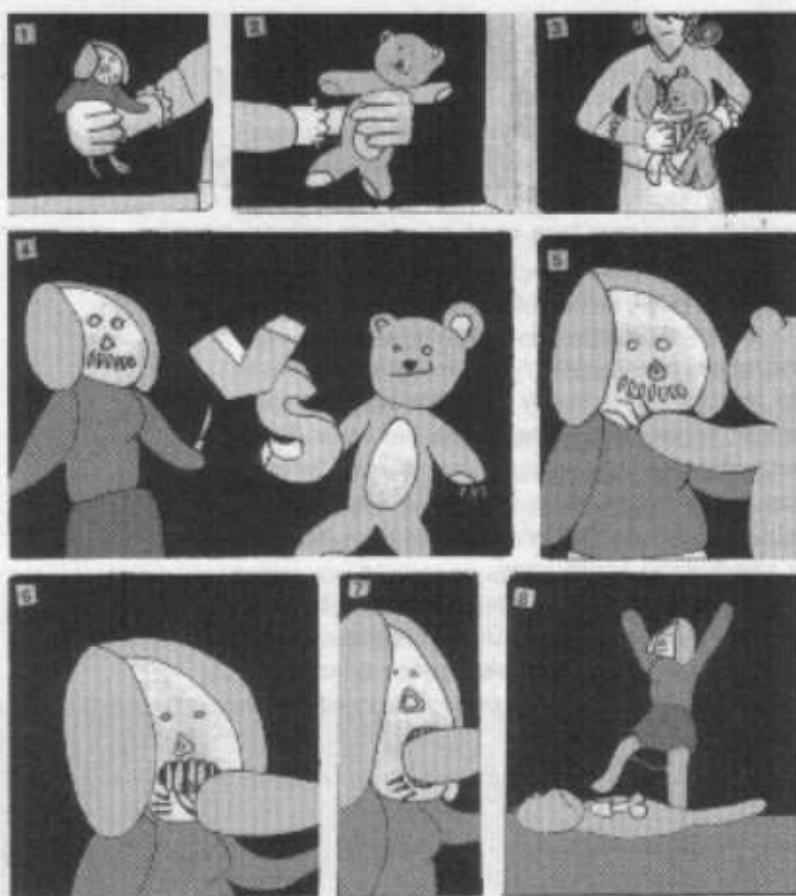
Michał Astrow – Marek Ślosarski

Ilia Teligin – Robert Rutkowski

Maryna – Cecylia Puto



*fol. Piotr Dłubak – Paula Kwietniewska (Sonia),
Andrzej Iwiński (Iwan Wojnicki)*



rys. Jakub Zamojski



rys. Jakub Zamojski

POGOTOWIE POETYCKIE

Drzwi otworzyły się z jękiem. Wysoka, rozczochrana postać schylając głowę pod niską belką stanęła przed panem Anatolem.

– Dz...dzień d...dobry – wykrztusił młodzieniec.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

Tysy jak kolano starszy pan obejrzał klienta. Poprute, przykrótkie spodnie, wyciągnięty, fioletowy sweterek świadczył o niezbyt uporządkowanym trybie życia petenta.

– Czy to Pogotowie Poetyckie? – spytał.

– Tak. Do usług. Coś przyciąć, skroić, przyszyć?

– Chciałbym wygrać turniej – przemógł się młodzian. – Turniej poetycki. Mam wiersz, ale wydaje mi się, że jest niedoskonały. Może pan z nim coś zrobić?

– Hmm, naturalnie. Wygrać to piękna rzecz. Te laury, oklaski, nagrody... Możesz go pokazać, chłopcze?

Chłopak wyciągnął z tylnej kieszeni spodni pomiętą kartkę z zeszytu, zapisaną rozmazanym ołówkiem.

– To wiersz pod tytułem „Dla ciebie”.

Pan Anatol spojrzął na kartkę pod światło, przesunął na czoło grube okulary.

– Taak. Udany wierszyk. Trochę bym go jednak przyciął, gdzie indziej coś dodał. Kto jest w jury?

– Pan D., pan G. i pani M.

– Pani M.? O, to zmienia sytuację. – stropił się pan Anatol, chociaż dzień wcześniej pił z nią kawę – Potrzebne będą wielokropki i trochę przecinków. Nie stosujesz interpunkcji?

– Jestem poetą nowoczesnym. Wszystko piszę małą literą i nie używam znaków przestankowych – dumnie oświadczył młodzian.

– Skoro jednak chcesz wygrać... Masz jakieś długi?

– Przegrałem trochę w pokera...

– Ludzka rzecz. Ale u mnie płatne z góry. Nie robię nic a' konto.

– Proszę. Tu są pieniądze. Wystarczy?

– No to weźmy się do roboty. – odrzekł pan Anatol chowając pieniądze do szuflady. – Fakturki nie wystawię, to chyba rozumiecie... Dyskrecja – mrugnął okiem.

koronę zdejmę dla ciebie
szczęście i radość z niczego
dla ciebie wszystko zrobię
parasol na wicherę i na deszcz
w drzewie wytnę miłość
żebyś mnie chciała
a nie tego wala
kochanie
bejbe

– Oryginalne, ale nazbyt... knajackie. Pan D. od razu zauważył w nim pierwszy zawód miłośny i wyrzucił wiersz do kosza. Trzeba go napisać bardziej lirycznie, tak pod Gałczyńskiego, żeby wszyscy widzieli w tobie delikatnego i wrażliwego minstrela, a nie brutalnego macho.

– Rób pan, żeby było dobrze!

Pan Anatol chwilę popatrzył na swoje dyplomy na ścianach i zrezygnownie zmontowane zdjęcia, na których ściska się z Miłoszem i Rymkiewiczem. Poskrobał się trochę po czaszce, następnie pięknym, kaligraficznym piśmem przełożył swoją wersję na arkusz ozdobnego, czerpanego papieru. Przyłożył lakę. Chuchnął.

– Proszę, tak będzie dobrze. Czytając przybierz pozę herolda i poćwicz dykcję. Sukces masz gwarantowany. Czytaj teraz głośno, i młodzian zadeklamował.

Gwiazdkę z nieba przyniosę, gdy zechcesz,
Szczęście w proszku i radość w tabletkach.
Dam Ci miłość w herbacie i jeszcze...

Ciepłe dłonie na smutne wspomnienia.
Dam Ci uśmiech zamknięty w książeczce,
Ciepłotne uczucie na jesień,

A jak zechcesz dam siebie i wreszcie
Dam Ci więcej niż trzeba, coś jeszcze?

– Doskonale! Zająbiście! Nagrodę mam w kieszeni! Polecę pana znajomym...

– O, nie robiłbym tego – uśmiechnął się Anatol.

Młodzian wyszedł. Po chwili drzwi się znów otworzyły.

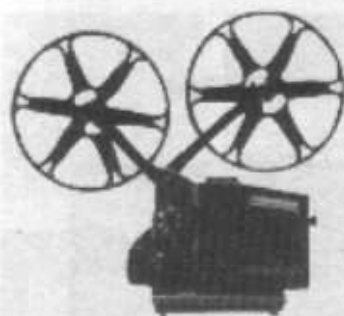
– Dzień dobry. Pogotowie Poetyckie?

– Proszę, proszę. Na turniej?

S. Burszewski

MALARZ ARTYSTA GRAFIK





NIEZIEMSKI EDI*

Na ekrany kin wszedł „Edi” Piotra Trzaskalskiego. (W Częstochowie film ten prezentowany był w Ośrodku Kultury Filmowej). Obsypany nagrodami, wychwalany przez krytyków, typowany do Oskara, słowem: arcydzieło, perełka we współczesnym polskim kinie.

Z wielką ciekawością zasiadam i starannie oglądam „Ediego” raz, drugi, trzeci, mam bowiem ten przywilej, że nie muszę płacić za bilet. I co? Ośmieliłem się nie podzielić powszechnego zachwytu. Więcej, będę się czepiać, szczególnie scenariusza. Bo ogólnie rzecz biorąc film jest oczywiście dobry: wyróżnia się znakomitym aktorstwem, pięknymi zdjęciami, szlachetnym przesłaniem. Edi – człowiek marginesu – jest bohaterem nad wyraz pozytywnym. Wprawdzie zbiera złom i pije, ale czyta książki, ma swoją filozofię życiową, jest wrażliwy, zdolny do wyższych uczuć, spokojny, dobry – wprost ociekający dobrocią. Zgoda, zdarzają się tacy. Henryk Gołębiowski wspaniale uwiarygodnił tę postać. Ale jak uwierzyć w taką oto sytuację: dwaj bracia, gangsterzy-biznesmeni trudniący się przemytem alkoholu, zatrudniają Ediego (złomiarza, pijaczka, drobnego mienie) jako korepetytora z literatury dla swojej siostry maturzystki? Dziewczyna nie przykłada się do nauki, a maturę musi mieć. Normalny „biznesmen” taki paperek bez problemu kupuje, a w najgorszym wypadku, jeśli sprawa jest traktowana serio, bierze korepetytora-fachowca za ciężkie pieniądze. Stać go na to. Domyślamy się, że scenarzyści chcieli zetknąć osobę Ediego z siostrą gangsterów, niestety, zrobili to nieudolnie. Kolejna sytuacja: maturzystka jest w ciąży. Wmawia braciom, że Edi ją zgwałcił. Cwani faceci dają temu wiarę, mimo że wszystkim wokół wiadomo, jaki jest Edi – muchy by nie skrzywdził. To chodząca dobroć, fajtłapa, nalwniak, pijaczek mikrej postury czytający książki. Idźmy dalej. Dziewczyna jest w ciąży, bracia nie chcą bękarta. Nie wiadomo więc, dlaczego pozwalają siostrze urodzić dziecko. Bez trudu mogliby zapłacić za aborcję – stać ich na to, a przynajmniej na nią nalegać. Wiemy jednak, że scenariusz opierał się na kluczowym pomysle odkupienia przez bohatera nie swoich win – Edi zgadza się być ojcem cu-

dzego dziecka, w imię miłości dobrowolnie staje się ofiarą rodzinnej zemsty braci-gangsterów. Można to było rozegrać lepiej, przede wszystkim z dbałością o prawdopodobieństwo zdarzeń.

Przeciętny widz pewnie nie zwróci uwagi na logiczne potknięcia w scenariuszu, jednak koneserzy na pewno te błędy wyłapią. Ja byłam poirytowana nieudolnością scenarzystów w logicznym konstruowaniu fabuły, nadmierną naiwnością – owym „wciskaniem” cikliwego kitu, jawnym naginaniem rzeczywistości dla przepięknej idei. Krytycy wskazują na metafizyczny, baśniowy charakter filmu zapominając o żelaznej zasadzie kompozycyjnej obowiązującej we wszystkich gatunkach filmowych: niezachwiana logika wewnętrzna dzieła. Według mnie ta historia jest bardziej bujda, niż baśnią.

Oprócz wyżej wymienionych powodów, jest jeszcze jeden, który podtrzymuje moje przekonanie. Film jest w zasadzie balladą miejską, mocno osadzoną w konkretnym środowisku, ale i w tym wypadku reżyser nie zachował konsekwencji. Oto nagle bohater wraz ze swoimi problemami ucieka na wieś. Wkracza w rajskie życie. Wieś – jako mityczny raj – to już wytarty schemat, a z dzisiejszego punktu widzenia całkowicie fałszywy. Życie na wsi, to zwyczajne, tak naprawdę jest dziś piekielną udręką. (Chyba, że jest się filmowcem, ma się wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wybudować sobie w uroczym zakątku arkadyjską chałupę i przyjeżdżać od czasu do czasu mercedesem, żeby wydoić kozę – kozy są modne, bo ekologiczne, a po wydojeniu przypalić zioło w cudownie bukolicznej, wiejskiej ciszy.)

Na koniec jeszcze parę słów o muzyce, której autorem jest Wojciech Lemański. Dla mnie pobrzmiwa ona cikliwie i banalnie, niepotrzebnie powiększa sentymentalizm obrazu. Uważam, że powinna być staranniej dobrana, bardziej wyszukana, powinna prowadzić kontrpunktowy dialog z obrazem, a nie być jedynie muzyczną tapetą. O tym, jak wiele znaczą muzyka w filmie nie trzeba się rozpisywać. W filmie polskim jest to wciąż poważny mankament, drugi grzech główny po słabych scenariuszach.

„Edi” wytypowany został do Oskara. Czy tę nagrodę otrzyma? Według mnie nie. W kraju, w którym stawia się przede wszystkim na perfekcyjne scenariusze, ma raczej nikłe szanse.

Halina Piwowska

**Tekst pisany w listopadzie 2002*

BEKSIŃSKI

W CZĘSTOCHOWIE

Nawet ci, którzy o sztuce nie wiedzą nic, słyszeli o Beksińskim. Jest on jednym z nielicznych artystów, którzy istnieją w społecznej świadomości. Z jego malarstwem stykam się od lat. Najpierw w formie albumowych reprodukcji, potem oglądałem oryginały na wystawach. Niezależnie od tego, czy artysta przelewa na płótno, a właściwie na płytę pilśniową, własne nekające go wizje, własną podświadomość, czy może tak sobie po prostu buduje obrazy według jakiegoś z góry przyjętego założenia, efekt może wywołać przynębie. Rozkład, martwota, groza. „Brzydota spuszczenia”. Może nie jest to świat po końcu świata, przed „nową ziemią i niebem nowym”, ale na pewno po ogromnym kataklizmie. Pozostały szczątki, ruiny, a jeśli są jakieś przejawy życia, to fantastyczne bestie, straszliwe stworzy albo głodne wilki. Świat z koszmarnego snu. Pesymizm. Katastrofizm. Koniec cywilizacji. A przy tym nie można odmówić tym apokaliptycznym wizjom swoistego piękna. Obrazy są też na swój sposób estetyczne. Mogą przyciągać, wywoływać zainteresowanie, podziw.

Na pochylonym wielkim żelaznym krześle siedzi postać w czerwonym płaszczu. Twarzy nie widać. Może to Chrystus płacze nad światem, który nie poznał czasu swego nawiedzenia. Na ziemi pogruchotane miasto. Gotycka katedra zachowuje swoją sztuczną formę, ale cała jest przerośnięta spletanymi tworami organicznymi, ni to naczyniami, ni korzeniami. Czy to życie pulsujące w budowlu, czy raczej etap przed rozpadnięciem się materialnego dzieła ludzkiego ducha. Spiętrzona, opustoszała potężna budowla. Wieża Babel. Przez okna górnych pięter widać płomienie. Na tarasach krzyże. Po nowojorskim 11 września ten, powstały przed laty, obraz narzuca nowe interpretacje.

W ciemnej przestrzeni płoną żywe ognie na ołtarzach - grobowcach.

Jest w tych dziełach iluzja przestrzeni, jest światło groźne i piękne. Fosforyzujące martwe

wody, spalona ziemia. Niektóre obrazy są całe wypełnione, wręcz zatłoczone. Ale daje się zauważyć tendencję odwrotną, zwłaszcza w nowszych pracach. To większe skupienie, kompozycja niewielu elementów w przestrzeni i świetle. Pojawia się symbolika krzyża. Trudno by go było tu nazwać znakiem nadziei, ale jest czymś, co trwa. Nad rumowiskiem, stertą przedmiotów o czytelnym pochodzeniu, pozostałościami ludzkich domostw. Na szarostalowym niebie rozdartym białym blaskiem. Może jednak swiem Zmartwychwstania?

Pamiętam wystawę nowych wówczas prac Beksińskiego w częstochowskiej Galerii Lonty-Petry. To wtedy pojawiły się obrazy z krzyżem, monumentalne, proste, skupione. Pisał o nich Wojciech Skrodzki.

••

Teraz Zdzisław Beksiński, a szczególnie jego marszał Piotr Dmochowski, narobili częstochowskim władzom municypalnym sporo kłopotu. Piotr Dmochowski zaproponował przekazanie miastu w depozyt na kilka lat paru obrazów Beksińskiego. Takie depozyty często przekształcają się w dary. Szefowie częstochowskich placówek kulturalnych, do których oferta była skierowana, wpadli w popłoch i zaczęli się spolem jednomyślnie wymawiać. „Miejsca nie mamy!” Bo warunkiem było stałe eksponowanie tych prac. Dopiero stanowczy głos naczelnika Kozery, a może i działanie wyższej instancji, w sposób nie pozostawiający wątpliwości rozstrzygnęły sprawę. Miasto nie chce rezygnować z tak hojnego daru. A Piotr Dmochowski znów wszystkich zaskoczył, wzbogacając swą propozycję. Już nie tylko Beksiński, ale i dzieła kilku innych wybitnych artystów. W tej sytuacji znaleziono wyjście. Na stałą ekspozycję depozytu przeznaczona będzie, według prasowej wypowiedzi dyrektora Tarczyńskiego, dotychczasowa sala „Kameleon” w Miejskiej Galerii Sztuki. I wilk syty, i owca cała.

Włodysław Rotusiński

ROZMOWA Z JERZYM PIWOWARSKIM

– Jak przebiegała Pana edukacja plastyczna?

– Sprowadza się ona w zasadzie do studiów na kierunku Wychowanie Plastyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Trafiłem tutaj z trzech powodów: obecność fotografii w programie dydaktycznym kierunku, możliwość łatwego dojazdu do domu w Skierniewicach, przybliżenie się do gór i Zakopanego, gdzie planowałem w miarę często bywać (co nie do końca się udało).

Kiedy byłem jeszcze w technikum, zamierzałem podjąć studia na łódzkiej filmówce – wydział operatorski. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że stan mojej wiedzy z zakresu warsztatu fotograficznego i historii filmu jest zbyt skromny wobec potencjalnych wymagań egzaminacyjnych i zmieniłem decyzję.

Wracając do studiów: obejmują one zajęcia z różnych dziedzin, m.in. malarstwa, grafiki, fotografii, rzeźby, projektowania graficznego, historii sztuki, z których część po kursie wstęp-

nym może być kontynuowana jako specjalizacja. Ponieważ na początku lat 80., kiedy studiowałem, nie było specjalizacji z fotografii, trafiłem na rzeźbę do pracowni profesora Tadeusza Wencła, gdzie w roku 1984 obroniłem pracę dyplomową.

– Kto był Pańskim „przewodnikiem” po świecie sztuki?

– Właściwie byli to wszyscy pracownicy naukowo-dydaktyczni ówczesnego Instytutu Wychowania Artystycznego, którzy mnie uczyli. W znakomitej większości to pracownicy obecnego Instytutu Plastyki. Moje wykształcenie plastyczne wymagało nadrobienia zaległości spowodowanych nauką w technikum. W zakresie fotografii bezsprzecznie najwięcej zawdzięczam profesorowi Aleksandrowi Żakowiczowi. Dotyczy to także wprowadzenia w dziedzinę badań nad historią polskiej fotografii.

– Ma Pan tytuł doktora w dziedzinie fotografii. Jaki jest jego temat?

– Doktorat był zwieńczeniem kilkuletniej pracy badawczej. Obroniłem go w IS PAN. Promotorem pracy „Polska fotografia artystyczna w okresie międzywojennym. Podłoże organizacyjne” był prof. Andrzej Ryszkiewicz.

– Czym jest dla Pana fotografia?

– Uważam ją za niezwykle bogate źródło środków wyrazu plastycznego. Mój stosunek do fotografii zaprezentowałem już na pierwszej wystawie indywidualnej, która zorganizowana została w galerii KMPiK w Częstochowie (1985). Kolejna wystawa w tej galerii dotyczyła już innych problemów. Zamieszczone zostały na niej wybrane zdjęcia z prowadzonej przez około dwa lata dokumentacji koncertów „Jazz at the Philharmonic”, dzięki którym stworzyłem syntetyczny obraz koncertu jako zdarzenia plastycznego. Z perspektywy czasu sędzę, że było to jedno z moich ważniejszych doświadczeń fotograficznych. Wykorzystanie muzycznych doświadczeń pozwoliło na eksplorację najbliższego otoczenia, jakim była przestrzeń miejska. W latach następnych (w zasadzie trwa to do dziś) zdecydowanie zwróciłem się ku formom istniejącym w naturze, które stawały się dla mnie bardzo istotnym pretekstem do analitycznych przemyśleń i decyzji o charakterze kompozycyjnym. Przedmiotem moich zainteresowań stał się także upływ czasu i możliwość przedstawienia jego za pomocą fotografii. Do jednej z pierwszych prac poruszających to zagadnienie wykorzystałem kobiecy portret (kon-



fot. Jerzy Piwowarski, Lwów 2001

terfekt z początku XX wieku), który po zreprodukowaniu został powiększony z użyciem przesuwanych skokowo po papierze nieprzezroczystych masek. Fragmentaryczność uzyskanej informacji wsparło zastosowanie tonowania (sepia), co niemal powszechnie kojarzone jest ze starymi fotografiami i przeszłością. Przez ostatnie lata realizuję zdjęcia, których głównym tematem jest gra światła i cienia w przestrzeni miejskiej. Fotografie powstawały (i powstają) w Częstochowie (okolice Starego Rynku, dzielnica żydowska) oraz w podobnej dzielnicy we Lwowie. W jednym i drugim przypadku poruszaniu się po uliczkach i ich fotografowaniu często towarzyszy refleksja o przemijaniu, choć może właściwsze będzie witkacowskie określenie "dreszcz metafizyczny". Z jednej strony jest to spotkanie z losami dawnych mieszkańców, z drugiej zaś kontakt z sytuacją, która za chwilę będzie przeszłością. Teoretycznie można przyjąć o tej samej porze dnia następnego (czy za rok), by powtórzyć zdjęcie, jednak będzie to już inna rzeczywistość...

- Należy Pan do Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej, Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie, Grupy Artystycznej „Czarne i białe w kolorze”. Na czym polega działalność tych grup?

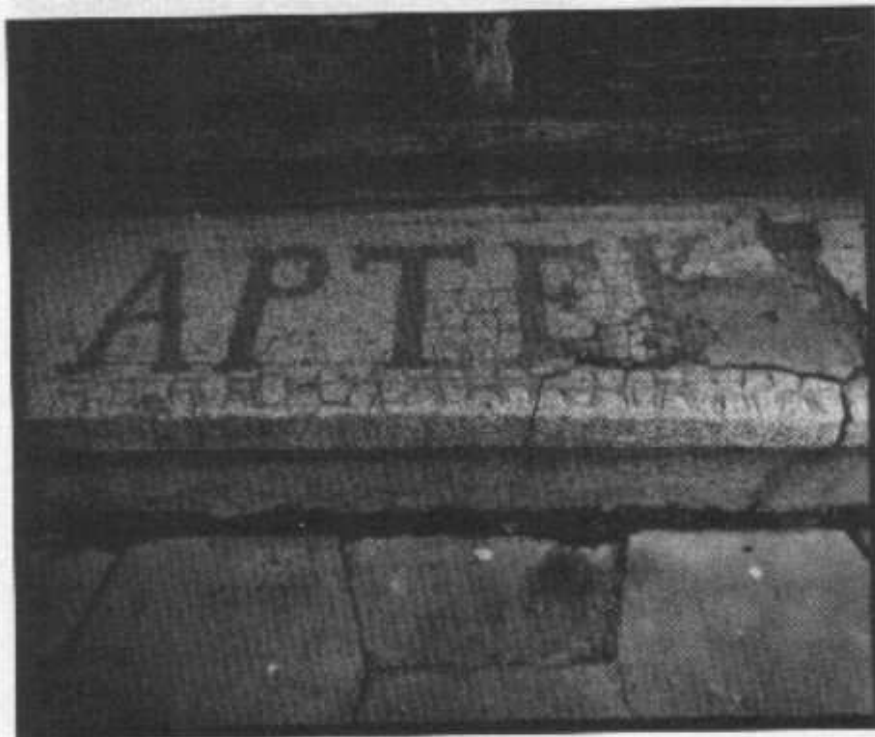
- Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej to związek twórczy zrzeszający osoby związane z tytułową edukacją plastyczną. Dość intensywna działalność z drugiej połowy lat 80. (w Częstochowie oddział prowadził Włodzisław Lipiec) w naszym mieście minęła (oddział nie istnieje), choć w innych ośrodkach trwa nadal. Organizowane są plenery, wystawy etc. Od lat jestem zapisany do okręgu warszawskiego, ale z powodu znacznej odległości jestem raczej jego sympatykiem niż aktywnym uczestnikiem organizowanych przedsięwzięć.

Towarzystwo Fotograficzne to grupa ludzi zainteresowanych fotografią, także w jej wymiarze artystycznym. Teoretycznie zrzesza tzw. amatorów, choć często są to zawodowcy mający swe zakłady fotograficzne (np. Sławomir Krajca czy Jacek Kamiński). W ostatnich latach (zwłaszcza po śmierci długoletniego prezesa Towarzystwa – Edmunda Mularza) Towarzystwo utraciło swą dynamikę: zanika tradycja cotygodniowych spotkań i wystaw. Wiąże się to z brakiem własnego lokalu (Towarzystwo gości w Instytucie Plastyki). Ostatnim znaczącym przedsięwzięciem był plener we Lwowie (lipiec 2001) i wystawa poplenerowa z udziałem zaprzyjaźnionych fotografów z Ukrainy, które zorganizowane zostały przy finansowym wsparciu naszego Urzędu Miasta.

Grupa Artystyczna „Czarne i białe w kolorze” to pokoleniowa grupa ludzi o podobnym poczuciu humoru i stosunku do życia; w składzie: Ewa Kozłowska (działania przestrzenne), Jarosław Kweclich (rysunek, malarstwo), Zdzisław Wiatr (grafika) i niżej podpisany (fotografia). Na „zadany temat” robiliśmy wystawy w galerii dawnej kawiarni „Prasowa”. Mimo niepoważnego niekiedy punktu wyjścia wystawy (np. „Nauczyciele do lasu”), nasze prace były odbiciem aktualnych indywidualnych przemyśleń związanych z twórczością.

- Kilkakrotnie otrzymywał Pan nagrody w konkursach fotograficznych.

- Spośród kilku nagród szczególnie miło wspominać pierwszy raz, gdy – ku memu ogromnemu zaskoczeniu – w jednym konkursie otrzymałem dwie nagrody. Był to międzynarodowy konkurs i wystawa „OPUS” w Kamieniu Pomorskim. Za bardzo duże wyróżnienie uważam Srebrny Medal na Międzynarodowej Wystawie „Fotożart'89” w Legnicy, gdzie oprócz walorów techniczno-kompozycyjnych rozpatrywana jest dodatkowa jakość, czyli dowcip. Jakkolwiek by to opisywać nagrodę zawdzięczam byłemu partyjnemu prominentowi Mieczysławowi Rakowskiemu..., który akurat został premierem. Powiadomiła o tym prasa, a że właśnie byłem w Zakopanem, kupiłem „Gazetę K-Rakowską”. Na zdjęciu winiety poza kadr usunąłem K i powstała praca zatytułowana „K-OUT”. Trudno także za sukces nie uznać



fol. Jerzy Piwowarski, Lwów 2001

ostatniej „Prize FOTOFORUM” z Rużomberok. Myślę, że każdy udział w wystawie, która organizowana jest jako pokonkursowa, stanowi wyróżnienie, a co dopiero nagroda...

– Jak Pan nawiązał tak interesujące kontakty z Pragą i Słowacją? Mam na myśli wystawę w Galerii 9 w Pradze, a zwłaszcza ostatnią nagrodę w Międzynarodowym Salonie Fotografii Artystycznej w Rużomberoku.

– Kontakty z Galerią 9 rzeczywiście były potrzebne, żeby „się” wystawić. Prowadzi ją nasza absolwentka, córka profesora Koëana, Eva, która od lat promuje w Pradze częstochowskich plastyków. W ubiegłym roku zaproponowała mi organizację wystawy indywidualnej, na co oczywiście – choć nie bez obaw – przystałem. Obawy wynikały z dwóch powodów: pierwszy to fakt, że wystawa odbywa się w Pradze, gdzie fotografia jest bardzo wysoko ceniona i surowo oceniana. Praska FAMU to najbliższa naszemu krajowi uczelnia, która przez lata dawała możliwość kształcenia się w zakresie fotografii artystycznej. Oczywiście, aby się tam dostać, trzeba przejść całą procedurę kwalifikacyjną. Sprawia ona, że z Polski trafiło tam chyba tylko kilka osób. Drugi powód to wątpliwości: czy aktualne zdjęcia nadają się na temat wystawy indywidualnej, która powinna być – oprócz prezentacji zestawu fotografii – także prezentacją pewnej koncepcji. Gdy porównam prace z mojej pierwszej wystawy (wówczas bawiłem się formą i różnymi możliwościami fotografii w kształtowaniu obrazu) i z obecnej (gdzie preferuję czystą fotografię), to widać jakby powrót do podstaw, do prostoty.

Jeśli zaś chodzi o Rużomberok: każdego roku staram się brać udział w kilku konkursach i wystawach fotograficznych, co stanowi bardzo dobry bodziec do pracy i daje możliwość sprawdzenia swoich umiejętności. Równocześnie gromadzę dorobek do przewodu kwalifikacyjnego, co jest konsekwencją mej pracy. Informację o konkursie otrzymałem od znanego częstochowskiego artysty-fotografa – Janusza Mielczarka. Z wysłanych zdjęć (tryptyk „Dziecię wspomnienia I-III”) wszystkie dostały się na wystawę, uzyskując „Prize FOTOFORUM”, co jest dla mnie szczególnym wyróżnieniem, gdyż konkurs organizowany jest pod patronatem FIAP (Międzynarodowa Federacja Fotografii Artystycznej). Niestety, z powodów służbowych („rozruch” roku akademickiego) nie mogłem sobie pozwolić na wyjazd po odbiór nagrody, która dotrze do mnie wraz z katalogiem dopiero po wystawie.

– Skąd u Pana tematy lwowskie?

– Tematy lwowskie pojawiły się jako konsekwencja pracy magisterskiej o fotografii wrocławskiej. Tam poznałem np. Bożenę Michalik, która przed wojną była członkiem Lwowskiego Towarzystwa Fotograficznego, oraz całe grono osób niezwykle sympatycznych i życzliwych młodemu magistrantowi, które wywodziły się ze Lwowa. Kolejnym etapem był wyjazd do Lwowa (1992). Zaowocował on kontaktami podtrzymywanymi do dziś. Przy okazji zrobiłem około 350 zdjęć. Lwów (a raczej tamtejsze środowisko fotograficzne) to także temat części mej pracy doktorskiej, w której opisana jest działalność wspomnianego LTF, lwowska prasa fotograficzna oraz wystawy fotograficzne. Badania trwają nadal, czego efektem jest m.in. mój udział w powstającej na zlecenie lwowskiego wydawnictwa „Europa” książce o historii tamtejszej fotografii do roku 1939. Udział ten to opis środowiska fotograficznego (polskiego i ukraińskiego) z lat 1918-39. Międzywojenny Lwów poznawałem także z publikowanych wspomnień m.in. Edmunda Romera (syn znanego geografa Eugeniusza i brat artysty-fotografa Witolda), którego poznałem osobiście, czy Janiny Mierzeckiej. W zakresie moich badań historycznych znajdują się także m.in. takie miasta jak: Wilno, Krzemieniec i Poznań. W każdym przypadku staram się nawiązać kontakty z żyjącymi twórcami, którzy byli związani z poszczególnymi ośrodkami.

Wracając jeszcze do zdjęć Lwowa: dwa lata temu uczestniczyłem w plenerze zorganizowanym przez Towarzystwo Fotograficzne. Część zrobionych zdjęć była eksponowana na wystawie poplenerowej oraz stanowiła podstawę zestawu indywidualnej ekspozycji w Pradze. Uzupełniły je fotografie z częstochowskiej starówki.

– Czy – Pana zdaniem – fotografia artystyczna ma swoich odbiorców w Częstochowie?

– Oczywiście tak. Trudno mi powiedzieć o frekwencji na organizowanych w galeriach wystawach (ta zdaje się jest podobna do wystaw prezentujących inne media), ale na pewno fotografią interesuje się szeroki krąg mieszkańców naszego miasta. Świadczą o tym wystawy i konkursy organizowane w Częstochowie (np. działalność galerii Regionalnego Ośrodka Kultury, którą prowadzi Sławek Jodłowski). Z własnych doświadczeń mogę dodać, że nie odczuwam wśród moich kolegów z Instytutu dyskomfortu, że zajmuję się tą właśnie dziedziną.

Rozmawiała Natalia Hurnik

„Chciałbym robić, co robię – bo robię to, co lubię”

Grzegorza Misiaka zwierzenia o spoglądaniu przez obiektyw

Jest jedną z osób zaliczających 2002 rok do udanych – bo jakże nie mówić tak o roku, w którym miało się pierwszą indywidualną wystawę? Fotografie Grzegorza Misiaka, wykonane w czasie licznych koncertów krajowych i zagranicznych gwiazd mieliśmy okazję oglądać w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” w lipcu ubiegłego roku. Dziś pojawiają się w „Alejach 3” – z tej więc okazji namówiliśmy ich autora na garść zwierzeń. A oto, co nam powiedział:

Robienie fotografii zaczęło się dla mnie, gdy miałem 10–11 lat. Aparat fotograficzny dostałem od ojca. Pierwsze zdjęcia – to było kosmiczne wydarzenie! Trzask migawki, wywołane odbitki, ile było oglądania... Cieszyłem się, jak każde dziecko, któremu przychodzi w udziale coś, co – jak się wtedy zdaje – jest zarezerwowane dla dorosłych.

Później nastąpiła przerwa, sprzęt poszedł w odstawkę, przyszły inne fascynacje i po aparacie, starszy model Zenita, sięgnąłem znów, gdy miałem 14–15 lat. Fotografowanie zaczęło mnie pochłaniać, zdjęć robiłem dużo, ale i kolejne podejście nie wyglądało na otwarcie nowego rozdziału w moim życiu. Nie było niczym stałym – lubiłem wracać do spoglądania na świat przez obiektyw, ale rzadko to robiłem. Aż do chwili, gdy trafiłem do dziennika „Życie Częstochowy”.*

Jak to się stało? Przez „Życie Młodych”, cotygodniowy dodatek dla nastolatków i przez nie redagowany. Zostałem namówiony przez kolegę – Piotra „Dzikiego” Chrzastka, który od wielu lat zajmuje się kulturą hip-hop w naszym mieście. Lubiałem koncerty muzyki hip-hop. Robiłem na nich zdjęcia, ot tak, na użytek własny i kolegów, a on poprosił mnie, bym je przyniósł do wykorzystania na łamach gazety. Dałem je, później następne, aż wreszcie powiedziałem sobie: „Nie będę przez kogoś załatwiał sprawy, przyjdę sam.” Domówiłem się z Arturem Bratkim, który redagował dodatek, że będę robił zdjęcia koncertowe i inne do „Życia Młodych”... I tak trwa do dziś.

Pamiętam pierwsze poważne zlecenie. Był to wybór „Absolwenta Roku Politechniki Częstochowskiej”. Pociłem się wtedy bardzo – chciałem, podobnie jak wszyscy, którzy zaczynają, by to, co zrobię, było jak najlepsze, jednocześnie miałem świadomość, że stanąłem obok tych, którzy już od lat robią to zawodo-wo. Wiedziałem, że zdjęcie ma iść na jedynekę – pierwszą stronę – i ta świadomość wcale mi nie pomagała. Zdjęcie musiało być dobre, odpowiednio doświetlone, a ja, jak na złość, miałem problemy z lampą... Wygląda na to, że się sprawdziłem, bo po owym pierwszym przyszły kolejne zlecenia.

Pomysł na wystawę? Zaraz, gdy fotografia zaczęła mnie „kręcić” i bawiłem się nią po prostu, chciałem już mieć wystawę (któż tego nie chce?), ale wiedziałem, że moje zdjęcia nie są jeszcze na tyle dobre. Marzenie zaczęło się realizować, gdy rozpocząłem chodzić i jeździć na koncerty. Najpierw były prace tutaj, w Częstochowie: Brathanki, T. Love. Voo Voo, później chrzest bojowy – Nick Cave we Wrocławiu. Pokazał mi, co znaczy fotografować artystów. Między tymi wszystkimi fotografiami z wielkimi tubami obiektywów czułem się po prostu psim. Miałem stracha, nie wiedziałem, co się dzieje. Gdy przekroczyłem próg Hali Ludowej, miałem świadomość, że nie mogę się wycofać. Wrobiłem cały film. Dobre zdjęcia były 4, może 5 – reszta rozjechana, a sprawę pogorszył słaby, ciemny obiektyw. Nie byłem zadowolony z efektu.

Jednak zaczęło się. Od Nicka Cave’a – otworzył pewną drogę. Gdy dostałem pierwszą akredytację, gdy prośba o nią nie spotkała się z odmową organizatorów, wiedziałem, że mogą jeździć na niezwykle koncerty. Współpraca z ich organizatorami była bardzo przyjemna, z reguły byli na nią bardzo otwarci.

Największa przygoda? Zawsze dzieje się coś niezwykłego i myślę, że ona dopiero będzie. Ale – na pewno Rammstein w Katowicach. Pamiętam, że przyszedł manager, mówił, ile mamy czasu na zrobienie zdjęć i kiedy oraz kiedy w ogóle zejść. Przestrzegali też, by uwa-

żać na tuby z przodu, bo stamtąd polecą jakieś fajerwerki. Podobnie było w Berlinie i tam zapaliło się coś od nich (fotoreporter!). Wchodzimy – ale jak można uważać? Z tyłu publiczność krzyczy przy barierkach, żeby nie zasłaniać, tu ochrona trzyma – mogłeś robić zdjęcia tam, gdzie stanąłeś. Nie było szans, by się cof-

nąć, przemieścić, a z przodu widzisz te nie-szczęśne tuby. I wtedy ognie zaczęły wylać. Wylatowałem, że nie na mnie.

Inne przeżycie – Ozzy Osbourne, też w Katowicach. Wymyślił, że podczas spektaklu będzie miał w rękach pistolet – miotacz wody pod ciśnieniem, i lał ją w publiczność. Nagle zauważył, że fotoreporterzy się chowają, podszedł więc specjalnie blisko i puścił strumień. 3/4 z nas było mokrych, podobno ktoś stracił nawet aparat cyfrowy. Każdy się bał, że woda dostanie się do elektroniki – a on się po prostu bawił. Ale to miało w sobie coś.

Najbardziej zapamiętany? Sting. Zafascynował mnie jako osoba. Mogliśmy robić zdjęcia zaledwie przez trzy kawałki – najczęściej artyści pozwalają tylko na tyle, a jeśli scena bywa ciemna przez pierwsze minuty, to sfotografować oznacza naprawdę „wyrzeźbić coś z niczego”. Sting występował wtedy z Robertem Plantem, mogłem obu zobaczyć na żywo. Sama świadomość, że ma się tę możliwość, to kosmos, nawet jeśli się nie jest ich fanem.

Czego nie trzeba się bać, robiąc fotografię koncertową? Bardzo w zdjęcie ingeruje publiczność, niezadowolona i zdenerwowana zawsze, gdy staniesz przed nią i zasłonisz widok ich ukochanych wykonawców. Trzeba jednak na ten czas wyłączyć się ze świata, nie zwracać na nią uwagi i po prostu robić swoje. Przeszkadzać mogą światła – bywa, że nie ma się w ogóle zdjęć i czeka, czeka na światło, na jedyny moment, kiedy błysnie, by dać szansę zrobienia czegokolwiek.

Co po wystawie w „Gaude Mater”? Chcę się rozwijać. Marzy mi się fotoreportaż. Niekoniecznie tutaj, mam świadomość, że w mieście będę stał w miejscu. Może trafi się jakiś fajny ogólnopolski magazyn?... Chciałbym zwiedzać świat, fotografować i zachowywać w pamięci rozmaite interesujące miejsca. Nie zamierzam rezygnować z fotografii koncertowej – wielką frajdę sprawia, gdy możesz poznać muzyków oglądanych w TV. Masz ich na odległość 1,5 metra od siebie, gdy możesz rozmawiać z nimi na konferencji prasowej. Chciałbym dalej wykonywać zawód, w którym się odnalazłem. Robić, co robię – bo robię to, co lubię.

Notował Janusz Pawlikowski

*„Życie Częstochowy” przestało się ukazywać pod koniec marca 2003 roku. Wywiad był przeprowadzony kilka miesięcy wcześniej.



fot. G. Misiak „DJEX-ORC”



fot. Cezegorz Misiak
„Robert Plant”
„Rammstein”
„Tomasz Stańko” (tył okładki)



